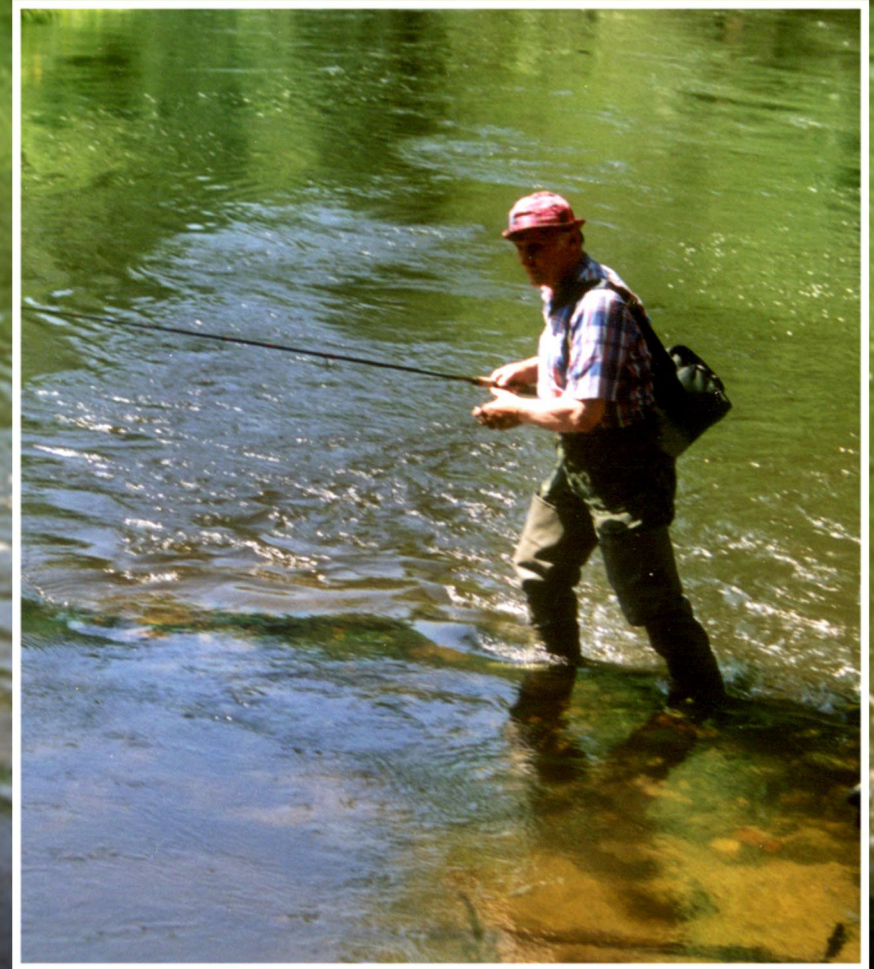


Zbigniew Adamski

Łowy z wędką

Zbigniew Adamski



Łowy z wędką

Ł O W Y Z W Ę D K Ą

REKINY ODRY, SUM Z BELDAN I MUSKY Z KANADY

**Wędkarskie przygody znad Odry, Noteci, z Mazur
i Północnej Ameryki**

Zbigniew Adamski

KSIAŻKI PRZYGODOWO – ŁOWIECKIE

Rospudą do Puszczy Augustowskiej	1980r Muzeum Karkonoskie
Moje spotkania z przyrodą	1984r Muzeum Karkonoskie
40 lat MZKS KARKONOSZE	1987r MZKS Karkonosze
Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórzu	1997r SK Wrocław
Ze strzelbą i wędką	1998r Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze
Ontaryjskie safari	2000r Spółka Komputerowa RKA w Inowrocławiu
Nad rzeką św. Wawrzyńca	2002r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Łowy z kamerą	2003r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
W królestwie Diany	2004r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Z wędrówek po puszczach	2004r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Tęczowe lasy Kanady	2005r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Skarbiec św. Huberta w zachodniej Krainie Sudetów	2006r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Na tropach książek (katalog)	2006r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Stowarzyszenia myśliwskie w grodzie nad Bobrem	2007r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Łowy z wędką	2008r Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
W ogrodzie Ducha Gór Rzepióra	2008r AD REM w Jeleniej Górze
Nad Bobrem Odrą i Notecią	2009r TOTEM w Inowrocławiu
Skarbiec Puszczy Sudeckiej	2010r AD REM w Jeleniej Górze
Koło Łowieckie „Darz Bór” w Jeleniej Górze	2010r TOTEM w Inowrocławiu
Koło Łowieckie „KNIEJA” Jeleniej Górze	2010r TOTEM w Inowrocławiu
Dziennik „Foto-Klubu Celwiskoza”	2010r TOTEM w Inowrocławiu
Sudecka Baśń	2011r AD REM w Jeleniej Górze

=====

NA OKŁADCE

* Rzeka Obra była tu pełna dołów i niebezpiecznych wirów, ale zaskakiwała wędkarzy wielkimi okazami ryb.

Fot. Willibald Filla

** Troć o wadze 3,5 kg, długości 68 cm złowiona na Obrze koło Międzyrzecza.

Fot. Willibald Filla



**Łowilem na Christian Island jednej z 30 tys. wysp archipelagu
Georgian Bay Island - Kanada**

NA BEZKRWAWE ŁOWY

**W 1998 roku Torontońskie gazety pisały:
„Jeleniogórski fotografik Zbigniew Adamski, wieloletni redaktor „Wspólnego Celu” przyjechał na rok do Kanady.
Był gościem Polskiego Klubu Myśliwskiego „Ontario” i Polskiego Klubu Dzikiej Gęsi Kanadyjskiej. Zapraszano go na polowania, ale jak znamy red. Zbigniewa, najbardziej interesowały go bezkrwawe łowy z aparatem fotograficznym.
Fotografie dziko żyjącej przyrody publikowało wiele czasopism i wydawnictw”.**

W drugiej części tej książki opisane są wrażenia wędkarskie z Kanady.



Dzike jezioro w Nipissing w rejonie Thonder Bay – Kanada

ZBIGNIEW ADAMSKI

ŁOWY Z WĘDKĄ

REKINY ODRY, SUMY Z BELDAN I MUSKY Z KANADY
Wędkarskie przygody znad Odry, Noteci, z Mazur
i Północnej Ameryki

Rzeczy wybrane



Wszelkie prawa zastrzeżone
Jelenia Góra – 2011 rok

Polski Związek Łowiecki
Zarząd Okręgowy w Jeleniej Górze

Konsultant: Kazimierz Koncewicz
Redaktor: Andrzej Grzelak,

Zdjęcia i rysunki ze zbiorów autora

Wydanie drugie elektroniczne poprawione
Opracowała Zofia Wąsik 2011 r.

Wydanie pierwsze
Copyright 2008 by Zbigniew Adamski
Jelenia Góra – 2008

SPIS TREŚCI

Zamiast wstępu	9
----------------------	---

WĘDKARSKIE PRZYGODY W POLSCE

=====

1. Rzeka ta radowała zmysły.....	13
2. Niebezpieczna wyprawa.....	19
3. Starorzeczka Tadka Czapli.....	22
4. Sum powiedział Mucha.....	28
5. Brązowe cielska ryb.....	33
6. Na starych wylewach rzeki.....	36
7. Rekiny Odry.....	43
8. Wiosenne sandacze.....	50

ŁOWY NA WODACH KANADY

=====

9. Słonecznice.....	61
10. Piranie.....	68
11. Klątwa Nanabusha.....	73
12. Czerwonopłetwe garbusy.....	81
13. Nad Bobrową rzeką.....	85
14. Spotkanie z Wojtkiem.....	89
15. Polowanie na łososie.....	92
16. Wędkarskie El Dorado.....	100
17. Północny kot potokowy.....	107
18. Spotkanie z muskellungiem.....	110
19. Szczupaki z domku na łodzie.....	115
20. Dorobek literacki.....	122



Zamiast wstępu

Wędkowanie to niekończąca się przygoda, to temat do dziesiątków ciekawych fotografii, ciągle zmieniających krajobrazów i przeżyć, kolorowych pejzaży wody, nieba i ciszy – wreszcie szczęścia i zachwytu z bogatych darów przyrody. Przecież wielu z nas zamiast gonić swym wzrokiem drogę srebrnej błystki, czy nieustannie śledzić cieniutki maszt anteny spławika, woli posłuchać pieśni godowej żab, śpiewu wodnego ptactwa, klangoru lecących żurawi, czy też swój wzrok wodzić po niebie, skąd nadlatują klucze dzikich gęsi. Bo właśnie takie to jest, to nasze wędkowanie, pełne zauroczenia, fascynacji nad otaczającą nas przyrodą.



Fot. Piotr Mierzwiński

„Wielkie ryby Odry” – to tytuł wystawy fotografii Zbigniewa Adamskiego poświęconej rybom ekspozowanej w roku 1989 w sali wystawowej Zarządu Okręgowego Polskiego Związku Wędkarskiego w Jeleniej Górze. Ekspozycja ta stała się dla autora inspiracją do opisanie swoich przygód, i podzielenia się wrażeniami znad wody.

Książka powstała z opisów wędkarskich wypraw zamieszczanych na łamach Wiadomości Wędkarskich oraz, innych czasopism i książek.

Zbigniew Adamski tak pisze o Odrze:

„Ponad wszystkie rzeki przedkładał tę jedną, stale groźną i niebezpieczną, odcinkami czarującą wędkarzy dziewiczą przyrodą,

rzekę Odrę – rzekę graniczną, z bystrym prądem, wiosną podtapiającą dziesiątki hektarów łąk i dolin, rzekę o rwących wirach. Jej wody płynące przez Puszcę Piaskową, od Kaleńska, Namysłina, Czelina, Łysogórek i Siekierk do Cedyni – to raj dla wędkarzy”. Autor opisuje wody wielkich ryb: boleni, szczupaków i sandaczy, bagiennych leszczy, płoci i suma z Noteci, i Wielkich Mazur.

Prezentuje też wyprawy na ryby u nas nieznane, z Północnej Ameryki - muskellungi, basy, wielkie pstrągi, północne szczupaki i łososie.

Ziemski

*

Członek Komisji Fotografii Krajoznawczej ZW PTTK i Komisji Propagandy przy PZW w Jeleniej Górze.

Red. Zbigniew Adamski – fotografiką i wędkarstwem zajmuje się już ponad trzydzieści lat. Jego pasją jest przede wszystkim przyroda, krajobrazy rzek i jezior, które utrzuwa na fotografii, gdzie spędza z kamerą i wędką swoje wakacje. Stąd wiele jego ciekawych zdjęć i przeżyć wędkarskich trafia do prasy.

Jest autorem kilkunastu indywidualnych wystaw fotograficznych, w tym jedenastu o tematyce przyrodniczo - wędkarskiej. Otrzymał wiele nagród i medali w kraju i zagranicą w konkursach fotografii przyrodniczej.

Jego wystawy poświęcone wędkarstwu:

1959 r. – „Mazury w Fotografii” Chemitex - Celwiskoza

1969 r. – „X lat Zakładowej Sekcji PZW w Fotografii” Chemitex - Celwiskoza

1984 r. – „XXV lat Zakładowej Sekcji PZW” Chemitex Celwiskoza

1986 r. – ”Z wędką nad Odrą” Woj. Pracownia Krajoznawcza

**1989 r. – „Wielkie ryby z Odry” Wystawa Jubileuszowa 40-lecia PZW
i Towarzystwa Wędkarskiego w Jeleniej Górze.**

Za tę działalność otrzymał:

Złotą odznakę PZW „Za zasługi dla wędkarstwa polskiego”.

Medal 40-lecia wędkarstwa w Jeleniej Górze.

Wielokrotnie nagradzany Honorowymi Dyplomami PZW.

Redaktor „Wędkarza” Roman Małecki

WĘDKARSKIE PRZYGODY W POLSCE





1. Rzeka ta radowała zmysły

W reszcie deszcz zelżał. Z trudem wyszliśmy na dwór. Targani przez wichur jak nadnoteckie topole i wierzbę, szliśmy wśród nich nad rzekę. Nogi tonęły w błocie, a serce rwało się do wody, na zarośnięte żółtymi grążelami i moczarką zakola.

Dziadek w tamtych latach popisывał się nie lada kunsztem wędkarskim. W żyłastych, spracowanych palcach sprawnie wiązał haczyk do końskiego włosia. Resztę wędki stanowiła szewska dratwa, wysmukły spławik z topolowej kory i lekki, długi leszczynowy kij. Cały ten zestaw był przez niego zrobiony.

Nie wiem dlaczego, ale na tę wędkę ryby brały bez opamiętania. Nigdy już później na nowoczesny sprzęt nie udało mi się tam powtórzyć dawnych sukcesów.

Obaj szliśmy w górę rzeki, coraz dalej i dalej, niemal aż do wału starego grodziska, otoczonego zewsząd bagnami. Czasem wśród tej czarnej mazi wyrastały zielone groble ze strzelistymi topolami wznoszącymi się ku niebu.

Z melancholią przyglądałem się okrytą mgłą równinie, gdzie ciągle deszcz i wichury targały łanami drzew i trzcin. Gniazdowało tu wiele ptactwa wodnego, szczególnie kaczek i łysek, były perkozy, mewy, a czasem jak ważka nad bagnami zjawiał się wielki rybołów.

Na groblach, wśród wysokich topoli, wiły niczym remizy swe gniazda żółtozielone wilgi i wieczorem swym fletowym głosem sygnalizowały swą obecność. Przylatywały żurawie, a orzeł bielik kontrolował zasobne w pokarm bagna i rzekę.

W późniejszym okresie, bo w latach siedemdziesiątych, utworzono tu obszary objęte ochroną rezerwatową, ze względu na miej-

sca lęgowe ptactwa wodnego i konieczność zabezpieczenia miejsc historycznych związanych z początkami Państwa Polskiego.

Liczne strumyki, spływające do rzeki, niosły najrozmaitszy żer - od ptasich odchodów, poprzez pijawki, małe kijanki i karasie. Wszystko to powodowało, że w lejkowatych ujściach wody żerowały najrozmaitsze gatunki ryb - okonie, szczupaki, liny, ale przede wszystkim „leszcze jak łopaty”.

W tych właśnie miejscach rzucaliśmy wędki. Musieliśmy się spieszyć, aby zdążyć przed następnym deszczem, bo wówczas ryby, jakby przeczuwając zmienną pogodę, brały przynętę najchętniej.

Czasami zastawała nas burza z piorunami. Wówczas kładliśmy się w najniższym zagłębieniu w ziemi i tak zalewani strugami wody trwaliliśmy do zniknięcia błyskawic.

Splawik tonął powoli, aż zniknął zupełnie. Uchwyciłem wędzisko i lekko podciąłem, podciągając wędkę. Nagle pod powierzchnią wody zatrzepotał leszcz. Błysnął lustrzanym bokiem, pokazał czarny ogon na pożegnanie i się odpiął. Pośpiesznie z domku wyciągnąłem nowego, tłustego chruścika i założyłem na haczyk. Uczułem uczucie zazdrości, kiedy dziadek spokojnie holował do brzegu któregoś już leszczyka: bez emocji, po cichu i zwracania na siebie uwagi.

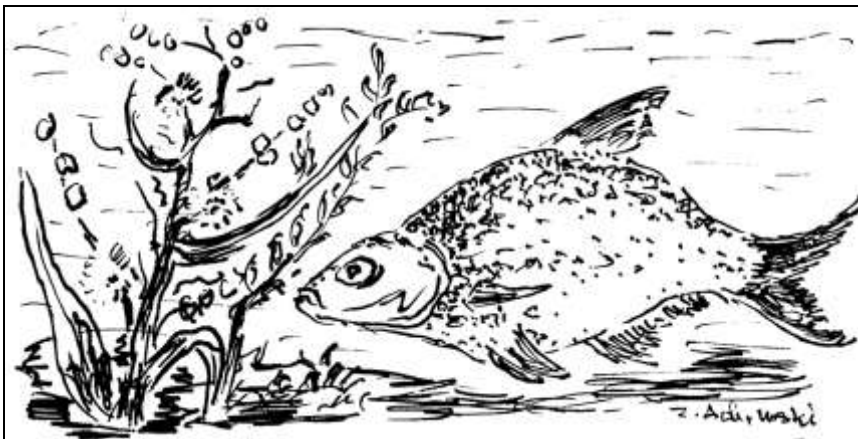
Znów mój splawik dryfował wśród wystających z wody roślin. Naraz położył się na wodzie, drgnął kilkakrotnie i zaczął ukośnie tonąć. Branie! Podciąłem lekko. Obserwowanie dziadka nauczyło mnie szacunku do ryby i rozegrania tej walki w pełnym spokoju. Trudno było jednak o ten stoicki spokój mego nauczyciela z takim bagażem doświadczeń, kiedy wiedziałem już, że chwyciła się wielka ryba.

Nie było czasu na rozpamiętywanie. Ryba uparcie parła pod ośmiornicę podwodnych kłączy. Wiedziałem, że tylko przypadkiem udało mi się ją odwieść od tego pomysłu. Nagle pod powierzchnię wypłynął duży, wielki jak łopata, srebrny leszcz, by ponownie zniknąć w smolistym mule.

Teraz ze świszczącym sykiem delikatne, końskie włosie cięło spokojną tafłę wody. Jakaś jego niebywała moc wytrzymywała ten potworny hol wędki. Z sercem pod gardłem i obawami o jej zerwanie, czy wyprostowanie szpilki, z trudem utrzymywałem kij i nerwy.

Naraz poczułem lekkie ukłucie. Wędka się wyluzowała. Już miałem zakląć, kiedy zobaczyłem jak pod powierzchnią srebrzy się wielka patelnia ryby. Ująłem wędzisko lewą ręką i delikatnie doprowadziłem tego olbrzyma pod brzeg. Prawą ująłem rybę pod skrzela i ledwo podniosłem do góry.

Leszcz wyglądał wspaniale, był ogromny, ale wagi nie mogłem ocenić.



Podszedł dziadek. Gratulował, chwalił, ciepłe potoki słów podnosiły mój prestiż. W jego oczach była to rekordowa ryba.

Dopiero teraz odczuwałem pełnię sukcesu. Byłem uradowany i szczęśliwy! Aż strach było pomyśleć, że gdyby weszła w podwodne korzenie mógłbym ją stracić!

To dzikie, bezludne pustkowie, pełne dziur, torfowisk i błota wydawało mi się najcudowniejszym skrawkiem na ziemi, jakimś dawno zapomnianym kawałkiem pierwotnej bagiennej

puszczy, po której kiedyś stapały tury i łosie, pokonywali ją wojowie książąt piastowskich.

Czy da się dziś opisać dumę i rozkosz młodzieńca pierwszy raz w życiu chwytającego wielką rybę i wchodzącego w tajniki świata przyrody, żywiołu wody, która do dzisiaj ma na mnie przemożny wpływ, budzi wieczną ciekawość i zachwyt?

Noteć i jej dorzecza pragnąłem poznać, jednak mogłem tego dokonać dopiero po wojnie, kilkadziesiąt lat później. Wówczas jednak wiele straciła ta rzeka ze swej dzikości i pierwotnego krajobrazu. Stała się chętnie odwiedzana przez wędkarzy oraz uregulowanym szlakiem wodnym. Taki jest wynik postępu cywilizacji. Miejscami jednak pozostała dzika, szalona i tajemnicza, radowała zmysły, pobudzała wyobraźnię oraz zachęcała do wędkarskich wypraw.





Rzeka czaruje swą dziewiczą przyrodą.



Portret szczupaka



Rankiem nad Odrą

2. Niebezpieczna wyprawa

Szczególnie głęboko wryły mi się w pamięć nadrzeczne, płytkie łachy, pełne mulistych czarnych dołów z nagrzaną od słońca wodą. Tam pod koniec sierpnia, w samo południe, zwrócił moją uwagę leżący w wodzie czarny korzeń lub kłoda. Więcej może bym się nim nie interesował, gdyby się nie poruszył. Wówczas rozpoznałem wielką rybę, mającą ponad metr długości. Małymi ślepakami bacznie mnie obserwowała. Z wrażenia oniemiałem. Może to jednak jakaś zjawia, jakieś podwodne kłacze? Kiedy końcem leszczynowego kija próbowałem jego dotknąć, na wodzie powstał potężny wir i ryba odpłynęła, pozostawiając po sobie zmieszaną z błotem czarną toń.

Właśnie to zakole nie dawało mi spokoju. O wszystkim opowiedziałem dziadkowi, który przygotował już odpowiednio silną wędkę. Mieliśmy też gotową receptę na schwytanie tego wężatego potwora. Na hak wygięty z agrałki chcieliśmy zaczepić zieloną żabkę.

Niespodziewany wybuch wojny pokrzyżował nam te plany, jednak w wolnych chwilach nie przestałem myśleć o sumie mieszkającym w dole, przy ujściu rzeki z Małego Gopła. Pogoda była wyśmienita i czas się dłużył. Wędki stały oparte o płot i czekały na decyzję dziadka.

Któregoś dnia powrócił z odprawy starszyny w jakimś lepszym humorze, niż był w ostatnich dniach.

– Bierz wędki – powiedział. – Kiedy tylko te bombowce przelecą, zaraz po obiedzie pójdziemy na godzinę, ale tu bliżej, na dołek obok buraków. Tam niedawno widziałem jak szczupaki przeganiały drobnicę. Zobaczymy! Niby nie wolno opuszczać wioski, ale to torfowisko leży przy Olejnika polu i do zabudowań też

jest blisko. Zresztą o tej porze wczoraj był spokój. Niepokoi mnie jednak, że kilka dni wstecz nad samą wodą ktoś znalazł zastrzelonego wędkarza w kolejarским mundurze.

Codzienny, charakterystyczny warkot ciężkich maszyn spływał spod nieba. Teraz leciały wysoko. Ukryci za płotem obserwowaliśmy je bacznie, a kiedy tylko znikły, chwyciłem obie wędkę i przez pole poszliśmy w stronę rzeki. Był zupełny spokój, jednak przenikliwa i złowieszcza cisza panowała w powietrzu.

Dotarliśmy nad torfowisko zarośnięte gęsto moczarką, porożcinaną przez pływającą łódkę. W tych rowach woda była tak przezroczysta, że widziałem czarne dno i połyskujące, małe rybki gonione przez drapieżniki. Wokół wykoszono trawy, nie mieliśmy żadnej osłony, nie było też trzciny, nie rosły wierzby. Tylko nieopodal zieleniło się pole buraków cukrowych, przeznaczonych dla pobliskiej cukrowni. Na jakiś sukces trudno było chyba liczyć. Martwiłem się, w dodatku byliśmy zewsząd widoczni. Dlaczego dziadek wybrał ten brzeg przy buraczysku, a nie ciekawszy od strony rzeki? Zrobił to chyba przeczuwając jakieś nieszczęście.



Wnet dwie małe żabki zadyndały na hakach i znalazły się w wodzie. Ryby były głodne, bo wkrótce mieliśmy dwa małe szczupaczki na sznurku. Dziś wiem, że nie były wymiarowe.

Naraz usłyszeliśmy warkot samolotów, głuchy, dudniący. Leciały od strony Gopła. Dziadek znał tych podniebnych piratów. Poznał ich jeszcze przed pierwszą wojną światową, służąc w armii niemieckiej w Szczecinie.

Wyrwał mi gwałtownie wędkę, sam rzucił swoją i biegliśmy co sił do łąnu buraków. W ostatnim momencie dopadliśmy zbawczego pola.

Z czwórki wysoko lecących samolotów oderwał się jeden i z przerażającym świstem nurkował prosto na nas.

W ostatniej chwili zostałem przewrócony i poczułem ciężar dziadka na sobie. Seria z karabinu maszynowego ogłuszyła nas, a wir powietrza od podrywającej się do góry maszyny przyduślił nas głęboko do ziemi. Potworny świst i syk spadających pocisków do wilgotnej ziemi podniósł obok gejzery pary, a rozbryzgane grudki ziemi i pył obsypały nas zupełnie.

Samolot odleciał, dogonił swoich kompanów. Dziadek mnie oglądał z każdej strony, przy tym klął, otrzepując nas z ziemi.

– To bezczelny kłusownik, wydaliśmy mu się łatwym łupem. Ten sam załatwił chyba tego kolejarza – mówił do siebie. – Powiem naszym wojakom, by na niego zapolowali.

Tego wieczoru, po powrocie do domu, postanowiliśmy już więcej na ryby nie chodzić. Nie byłoby zresztą okazji. Po wkroczeniu Niemców dom został przez nich zajęty.

3. Starorzecza Tadka Czapli

Nastał upalny początek lata, na bagnach przepojony zapachem tataraków i butany. Wilgotne powietrze zatykało nos, w ustach było słodkawo, a gardło drażniły unoszące się kudłate pyłki wierzb.

Tadka znałem ze szkoły, a jego barwne opowieści o wielkich rybach-potworach bywały ekscytujące i podniecały młodzieńczą wyobraźnię, były wizją wielkiej przygody.

W końcu postanowiłem jego zaproszenie przyjąć i tak w kolejne wakacje znalazłem się nad starą Notecią.

Weszliśmy w miejsce, gdzie nagle urywało się pasmo wierzb i zaczynał labirynt ścieżek wśród niekończącego się ładu trzciny. Brodząc po kolana w błocie doszliśmy do wystających z wody pni. Wraz ze splątanymi korzeniami tworzyły tu brzeg niewielkiego dołka, a w ich uścisku widniała mała wysepka, wybrana przez Czapkę na miejsce naszego polowania na podwodne, wielkie szczupale.

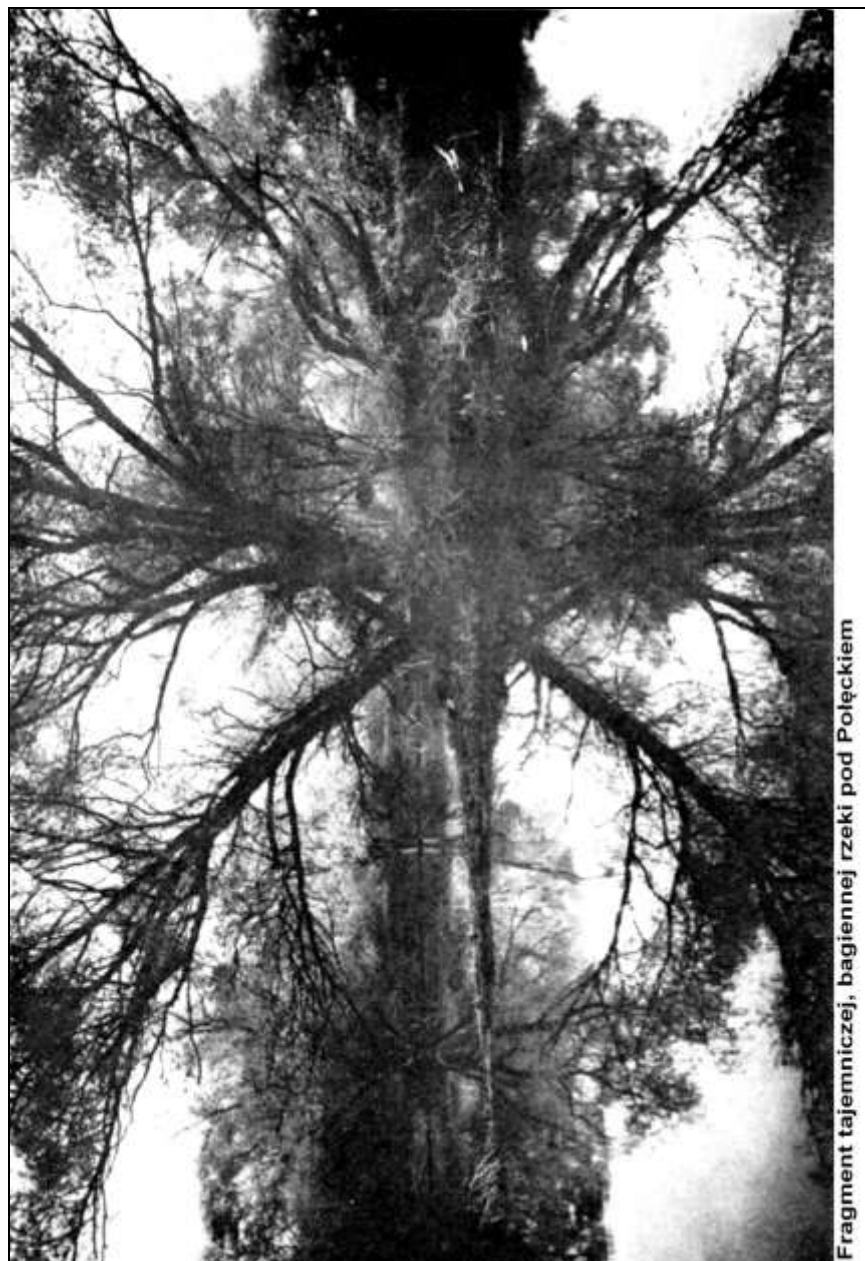
Wyposażony w tonkinową klejonkę, czeski kołowrotek „tap” oraz błyski domowej roboty chciałem Tadekowi zaimponować wyśzłością nowoczesnego sprzętu nad jego blachą z aluminiowej, polnieckiej łyżki i zwijanej wokół łokcia żyłki.

Woda była koloru szmaragdowego, zabarwiona podwodnymi warkoczami moczarki. Wokół panowała cisza i spokój, jedynie czasem daleki odgłos kukułki wyraźnie niósł się po wodzie.

Na początku aż mi było głupio. Każdy niemal mój rzut kończył się wyciągnięciem pęczka zielska i zmacaniem wody. Wiedząc moją nieporadność Tadek poprosił o odczekanie do chwili, kiedy woda nabierze klarowności.



Jesienny klucz gęsi



Fragment tajemniczej, bagiennej rzeki pod Połeckiem

Dopiero pod wieczór któryś z dalekich rzutów przyniósł mi wreszcie długo oczekiwany sukces. Na kotwicy znalazł się kilkukilogramowy, zadziorny szczupak. Jego atak odczułem jak silne szarpnięcie. Potem wyskoczył nad powierzchnię wody, zadzwonił wirówką i wpadł z powrotem w jej toń. Moje podniecenie natychmiast zaczęło wzrastać. Aby uniemożliwić rybce wpłynięcie w konary nawet nie wiem, kiedy znalazłem się po pas w wodzie. Gdyby nie mój przyjaciel pewnie bym z tego grzęzawiska nie wyszedł o własnych siłach. Ryba i tak wplątała się w gałęzie, urwała wirówkę, a na kołowrotek zwinąłem o dziesięć metrów żyłki mniej.

Moje zdenerwowanie w końcu ustąpiło, a jego miejsce zajęła chęć podpatrzenia przyjaciela, który tego wieczora złowił prawie trzykilogramowego szczupaka.

Robiło się szaro, komary cięły nieznosnie, wracaliśmy do szałasu.

Wcześniej przygotowane dwa szczupaki powędrowały na ognisko, a raczej na rozgrzane kamienie i obracane przez Tadka rumieniły się w blasku ognia. Pachniało wokół majerankiem i jabłkami, którymi kucharz nafaszerował obie ryby. Jeszcze tylko sól do smaku i do ręki pajdy wiejskiego chleba urwane z bochenka. Nic wcześniej nie smakowało mi tak, jak ta traperska kolacja na tym odludziu, przyrządzona przez Czapłę.

Noc była krótka.

– Wstawaj już czwarta. Przygotuj się, spać będziemy w dzień, bo zanosi się na deszcz – tymi słowami przywitał mnie Tadek.

Jeszcze szary przedświt nastawał, kiedy wyruszyliśmy na nowe łowisko.

Dla mnie spotkanie z wodą było zawsze dużym przeżyciem, zwłaszcza tu, w zetknięciu z tak dziewiczą przyrodą.

Szliśmy wśród trzin, po boku oczka wodne tonęły jeszcze w głębokim śnie, ryby nie marszczyły lustra wody, nie wyszły na mielizny za drobnicą i owadami.

Czekała nas niebezpieczna przeprawa na drugi brzeg przez śliską, leżącą w wodzie kłodę. Po wiosennych roztopach poziom wody był wysoki i utrudniał przechodzenie, nawet wypróbowanymi ścieżkami. Nieuważnie stanąłem na śliskim konarze i znów byłem o krok od przymusowej kąpieli.

Wreszcie drugi brzeg. Rzeka przechodziła tu w mielizny, otoczone zewsząd krzewami. Obok rozłożystej wierzby kusił mnie czarny dołek.

Zawsze lubiłem polować na pograniczu głębi, tam miewałem wiele sukcesów. Zacząłem źle. Pierwszy rzut nie wyszedł, poza tym złamałem gałązkę wierzby zahaczoną kotwicą. Ścięte listki powoli opadały. Nagle fontanna wody wytrysnęła w górę ze spokojnej toni. Wielki żarłok nabrał się chyba i połknął zamiast uklei mały listek. Zaskoczenie moje było kompletne. Zachowanie ryby świadczyło o wielkiej jej żarłoczności.

Od nowa drżącymi jeszcze palcami poprawiłem mępsa i teraz już rozważnie rzuciłem pod sam krzak. Kilka obrotów korbką i żyłka się naprężyła. Lekko szarpnąłem, kij wygiął się w kabłąk. Podniecenie wzrosło. Pełen byłem obaw o zbyt mocno przykręcony hamulec. Jego miarowe terkotanie przyjąłem z ulgą. Pojawiła się nadzieja na wyciągnięcie ryby. Powolny i łatwy hol trwał krótko. Kiedy szczupak zobaczył mnie, miał już dość tej zabawy. Zakręcił młyńca, wyskakując nad wodę. Głośno zatrzepotał łbem, zadzwonił błystką, chcąc ją wypluć, a kiedy to się nie udało, pozwolił się bez przeszkód doholować do brzegu. Trwało to jednak krótko. Ponowny atak ryby omal nie zakończył się zerwaniem żyłki. Tylko jakiś łut szczęścia pozwolił mi ją wyprowadzić ponownie na czystą wodę i przyholować do brzegu.

Szczupak okazałe wyglądał. Miał omszały, zielony grzbiet, w pomarańczowe i złote plamy, krwisty ogon oraz czerwone płetwy, od spodu prawie srebrnobiałe.

Po przyjściu Tadka zważyliśmy rybę. Miała ponad pięć kilogramów. Zrobiliśmy z nią zdjęcie.

Czapla przyniósł trzy kilogramowe szczupaki i dwa zielone garbusy, okonie o krwistych płetwach. Ryby szybko obraliśmy. Mój przyjaciel natarł je pokrzywą, nasolił i zawiesił nad ogniskiem. Filety nakrył rękawem z koca przeciwpożarowego i tak przez parę godzin wędził. Zapach dymu prowokował i drażnił podniebienie, ale ryby z tej wędzarni, a zwłaszcza okonie, smakowały wyśmienicie.



W następnych dniach złowiłem na tych rozlewiskach jeszcze dwa podobne okazy, choć muszę przyznać, że jeden z nich wyrwał mi korbkę kołowrotka, okaleczył nią palec i porwał żyłkę.

Przeżycia, jakie następują w takich chwilach, na pewno zna każdy wędkarz. Mnie ta dzika rzeka jeszcze przez wiele lat mobilizowała do jej odwiedzania, do przebywania w jej otoczeniu i wilgotnym klimacie, do powtarzania sukcesów trapera Tadka Czapli.

4. Sum – powiedział Mucha

Następnego wieczoru było jeszcze spokojniej. Ciepły wiatryk z wilgotnymi oparami ze Śniardw płynął nisko i wślizgał się w szeroki kanion Beldan. Naprzeciw nas leniwie przepływały żaglówki, prawie jedna za drugą, by zdążyć przed zmrokiem do bazy w Kamieniu.

Mucha długo obserwował wodę i niebo, sprawdzał sprzęt wędkarski, podnosił kamienie i oglądał czy są pod spodem mokre. Zajrzał do żab, które miał w wiadrze, potem długo medytował. Nawet przez moment miałem wrażenie, że chce się z tej wyprawy wycofać i przestałem się odzywać. Jednak wierzyłem w nocny sukces starego wygi. Miałem popłynąć z doświadczonym jak nikt inny wędkarzem, który od lat znał te wody i obyczaje wielkich ryb w „zatoce wąsaczy”, jak nazywał szerokie gardło ujścia Krutyni.

Płynęliśmy jego kryją już z godzinę po prawym brzegu jeziora. Minęliśmy ujście z jeziora Fłos, za którym zaczęła się otwarta Zatoką Iznota. Po jej brzegach ciągnął się szeroki pas bagien, a przybrzeżne wody były pokryte kożuchem podobnym do żabiego skrzeku. W nurcie widać było kilkumetrowe warkocze moczarki. Przy trzcinach czerniły się łachy mułu i kłaczy podwodnych roślin. Nigdy bym tu sam nie wpłynął, pomiędzy podwodne straszące czernią kłody, ciemne nory i wystające zbutwiałe gałęzie.

Woda jak na tę porę roku była ciepła, sprawiała wrażenie nagrzanej, tylko na głębinach lodowato zimna. Mucha nie błędził. Sobie znanym szlakiem, omijając przeszkody, powoli dopłynął do wystającego pnia i tu zaczepił łódkę. Był to już ostatni moment przed zmrokiem, bo na przeciwnym brzegu, przy stacji Gąsior rozbłysły pierwsze światła.



Starorzecze Odry w Połecku.



Okazy leszcza z Jeziora Gopło.

Widać był zadowolony, bo poklepał mnie ciężką łapą, aż mnie zaboląło ramię. Wiosło jeszcze czułem w dłoniach, a tu nowe uderzenie jeszcze ból powiększyło.

Staliśmy obok powolnego rzeczno-prądu, który niósł ze sobą z głębi puszczy różne leśne śmieci, a najwięcej liści.

Mucha nie czekał. Wyciągnął metalowy sadzyk, z którego wydobywał się przejmujący zapach nieświeżych ryb, przywiązał coś do sznura i rzucił parę metrów od łodzi.

Na dwóch wędkach spławikowych w światłach latarki wisiały spokojnie zahaczone za skórę żabki. Na jednej wędce przesunął spławik do głębokości prawie sześciu metrów i zarzucił ją pomiędzy zielsko. Pierwszy spławik od razu się zatrzymał, drugi powoli płynął.

Kiedy zgasilem światło czarna noc otoczyła nas zewsząd. Mucha wygodnie usiadł na kapoku i chyba zasnął.

Ja tę noc przeżywałem na swój własny sposób - łowiłem każdy szelest bliższy i dalszy. Nawet wyczułem lot nietoperza nad nami, słyszałem dalekie w lesie hukanie sowy i plusk wody przy płynącym piżmowcu. Potem zaszczekała w trzcinach łyska. Zaniepokojona głośnym „pisk” wystraszyła intruza, bo nastała zupełna cisza. Usypiały monotonne uderzenia fali o brzeg.

Przy burcie łodzi coś zaczęło gwałtownie pluskać. Byłem pewien, że jakaś ryba podpłynęła. Kiedy zaświeciłem latarkę, aż ręka mi odskoczyła. Przede mną pływał zygzakiem wąż, niosąc w pysku kawałek obdartej ze skóry ryby.

Naraz hałaśliwie zaczął obracać się bęben kołowrotka. Mucha niczym sprężyna podskoczył, chwycił wędkę i mocno podciął. Jednak ją odłożył i spławik powrócił na swoje miejsce. Mój przewodnik usiadł i znów kimał.

Nie odłożyłem ciężkiego kija. Po chwili poczułem takie szarpnięcie, że omal nie wyrwało mi go z rąk. Znów bęben zaczął się kręcić, a kiedy usiłowałem go palcem przyhamować, nad wodę wyskoczyło czarne cielsko ryby i błysnęło białą plamą brzucha.

– Sum – powiedział Mucha, ale wędkę mi nie zabrał, tylko zwinął drugą i kij położył na dziobie. Odwiązał też od pnia łódkę.

Sum parł na głębokie partie wody, wyciągając z bębna resztę żyłki. Czułem, że przez pewien czas ryba holowała nas w kierunku środka jeziora. Żyłka była tak napięta, że groziła w każdej chwili zerwaniem. Hol wydawał się wiecznością, powoli jednak zacząłem nawijać mój bęben.

Gdy rybę miałem może na piętnaście metrów, wypłynęła na powierzchnię. Takiego kolosa wcześniej jeszcze nie widziałem! Płynął po wierzchu, zanurzał się jak mała łódź podwodna i znów wypływał. W nocy wydawał się straszny - to biały, to czarny.

Byłem pewien, że za chwilę go wyciągniemy. Jednak odzyskał siły, a może nas zobaczył, bo ponownie bęben warczał jak wściekły. Teraz wyciągnął jednak już mniej żyłki. Potem pozwolił na skręcanie jej i dał się powoli holować do łodzi. Mucha chwycił go za dolną szczękę i wyciągnął sprawnie do wnętrza.

Radość była wielka! Wspólnie się cieszyliśmy jak dzieci. Nad lasem już dniało, kiedy wracaliśmy, a dzień zapowiadał się pogodny i szczęśliwy!



5. Brązowe cielska ryb

Złożony przeze mnie kajak bez trudu zniósłem z bindugi. Wsadziłem wędki, torbę z aparatami i odepchnąłem się od brzegu. Gumowa powłoka składaka bezszelestnie wpłynęła w słaby nurt wody. Wśród rybich grzbietów płynęliśmy w stronę Sowirogu. W dżungli trzcin porośniętych olchami, zarzuconych pochylonymi konarami wiekowych drzew, spotkałem gęsi, samotnika czarnego bociana – hajstrę i niebieskiego zimorodka.

Z dala od zgiełku, przy ujściu większej rzeki wypływającej z głębi borów zatrzymałem się przy kępie zielska. Zmontowałem spinning z obrotową błyską i rzucałem bezskutecznie w gardło wypływającej rzeki. Coraz bardziej lekki podmuch marszczył cichą toń, jednak ryby nie wychodziły ze swoich kryjówek. Rzeką płynęły kożuchy mchu, uschłe gałązki i żurawina. Błyska ginęła w czarnej jak sadza topieli i często się haczyła.

Naraz w pobliżu mojego stanowiska ujrzałem pod powierzchnią wody czarnego olbrzyma. Byłem przekonany, że to sum. Szybko zmieniłem obrotówkę na żółtego gнома, na którego na Drawie kilka lat wcześniej złowiłem dwunastokilogramowego suma. A nóż się uda i poczuję w ręku taką wielką bestię? Niech się potem nawet urwie, ale emocje pozostaną! Szanse moje rosły z minuty na minutę.

Ciemne cielsko ciągle ukazywało się naprzeciw mojego kajaku. Czułem się jakbym polował w puszczy na grubego zwierza. Oczym biegają to w lewo to w prawo i lustrowały czarną głębię.

Wokół kajaku tworzyły się smugi wypływających z dna baniek gazu błotnego i niewątpliwie świadczyły o żerowaniu potwora przy dnie. Potem znów woda stała się spokojna i gładka. Ręka mnie już

boląca od ustawicznego machania kijem. Postanowiłem odpocząć, bo i sum przestał żerować.

Słońce pochyliło się już nad lasem, zaczerwieniły od zorzy korony wielkich sosen, gdy woda wokół mnie znów się zaburzyła. Teraz wyraźniej niż przedtem ujrzałem pod powierzchnią wody brązowe cielska ryb, prawie podpływające pod burtę kajaku. Serce mi skakało do gardła i waliło jak młotem! Coraz bliżej mej łódki pływały dwa olbrzymy.



Nagle przede mną na kępę wyskoczyło jedno brązowe cielsko i oczom nie wierzyłem. Patrzyło na mnie z niedowierzaniem małymi ślepkami. Ależ to był bóbr! Niemal zupełnie czarny, o długiej płaskiej kielni zwisającej z kępy.

A to pech! Straciłem tyle czasu i wszelką nadzieję na rybę! Spokojnie i długo się sobie przyglądaliśmy. Uniosłem spinning, bóbr powoli wsunął się do wody.

Usprawiedliwiałem się przed sobą, zwinąłem sprzęt, bo robiło się już coraz ciemniej. Trzeba było wracać!

Kiedy odpływałem widziałem jeszcze siedzące na kępie bobry. Robiły wrażenie bardzo przyjacielskich zwierzaków. Spostrzegłem, że nie dziwiły się mojej tu obecności, w odróżnieniu ode mnie.

Po powrocie na Bełdany popłynęliśmy do Popielna. Tam w Ośrodku Doświadczalnym PAN zwiedziłem hodowlę bobrów. Smutno mi się zrobiło na ich widok. Mieszkały w betonowych i drucianych klatkach. Były równie czarne jak te z Sowirogu, ale w ich ślepiach wyczuwało się smutek i przygnębienie.

Później, kiedy administrator ośrodka opowiedział mi historię tej hodowli, na tamtejsze bobry patrzyłem już zupełnie inaczej.

W Polsce bóbr został całkowicie wytępiony. W roku 1949 osiedlono w Popielnie 6 rodzin sprowadzonych z Białorusi. Początkowo miano je hodować jako zwierzęta futerkowe, ale po uzyskaniu ponad czterdziestu miotów zaczęto wypuszczać w wybrane miejsca dla oczyszczania wody i przywrócenia puszczy do stanu pierwotnego. W ten sposób zasiedlono bobrami również jezioro Nidzkie, aż pod Sowiróg

Miałem szczęście, że spotkałem się z tymi sympatycznymi jarczakami. Przyzwyczajone od urodzenia do ludzi demonstrowały przede mną swój mistrzowski kunszt w podwodnym pływaniu, a ja nie umiałem tego rozpoznać i docenić!



6. Na starych wylewach rzeki

Ponad wszystkie rzeki przedkładał tę “jedyną” – stale groźną i niebezpieczną, z odcinkami czarującymi dziewczą przyrodą, szczególnie wędkarzy – Odrę, od Połęcka do Łysogórek i Cedyni, z bystrym prądem, wiosną podtapiającą dziesiątki hektarów łąk i polderów, o głębokich rwących wirach, zdumiewającej ilości zatopionych starych pni, malowniczych zakoli i oczek wodnych. To “raj dla wędkarzy”.

W tym otoczeniu bujnej roślinności, pełzających ramion starych wierzb, gęstwiny trzcin, tajemniczej bagiennej puszczy, żyło niegdyś dużo ogromnych ryb, wielkich jak kłody i rzadko gdzie indziej spotykanych. Miejscowi mówili, że tak wielki urodzaj żarłocznych potworów był wynikiem stoczonych w czasie wojny walk o rzekę i dużej ilości zatopionych zwierząt i ludzi. A żyły tu stada srebrnołuskich boleni, omszałe od starości szczupale, kolczaste sandacze, czarno-brązowe wąsate sumy, nie licząc pomniejszej drobnicy jak: okonie, klenie, jazie, leszcze, liny i wielu innych gatunków rybiego świata. Ta różnorodność i bogactwo rybich okazów oraz wspaniała przyroda stały się magnesem dla dziesiątków zapaleńców wędkarstwa. Tutaj nad “graniczną Odrą” próbowali swego szczęścia, niekiedy przyjeżdżając z odległych zakątków kraju i stawali się wierni tej rzece na zawsze.

Wczesny wrześnieowy ranek nie zapowiadał najlepszej pogody. Sądząc po ciężkich, czarnych chmurach, wolno płynących z zachodu, należało się spodziewać burzy. Jednak zaryzykowaliśmy! Jurek wyciągnął sprężynową wagę i zawiesił na niej rybę. – To ci się udało! 8,60 – to ładna sztuka.



Sławna „główka” na Odrze w Namyślinie, matecznik wielkich boleni.



Rozlewiska Odry w „Cedyńskim Parku Krajobrazowym” obfitujące w wielkie okazy szczupaka.



Bolenie- Rekiny Odry

W tym czasie wokół pojaśniało, nawet poprzez chmury wyjrzało błękitne niebo.

– Koledzy, w drogę!

Wyruszyliśmy! Podobnie jak dzisiejszego ranka, również i teraz rozstaliśmy się przy kępie rozłożystych wierzb. Każdy z nas wszedł na upatrzone wcześniej starorzecze lub ukryty wśród krzaków dołek.

Wybrałem jedyną drogę prowadzącą wśród wysokich trzcin na stary zalew Odry. Był on wprawdzie trudno dostępny, z dziesiątkami zatopionych konarów i gałęzi, ale zasobniejszy w większe okazy.

Obok bagiennego rozlewiska obsiadły mnie roje komarów, a jeszcze więcej krążyło ich nad głową. Siadały i gryzły w twarz, szyję, ręce. Były nieznośne i, co najgorsze, wróżyły deszcz. Wyciągnąłem z bluzy papierosy i na chwilę udało mi się dymem odstraszyć intruzów.

Było już niedaleko. Głośnie kwakanie kaczek zwiastowało bliskość wody. Naraz niebo pociemniało. Kaczki stały się aktywniejsze, coraz częściej przelatywały nad rozlewiskiem.

Po kilkunastu rzutach miałem “na agrafce” dwa szczupaki. Jednego chwyciłem w bardzo nietypowy sposób. Chyba za trzecim, czy czwartym razem błystka uderzyła w wodę tak, że odbijając się zawisła na dużym liściu nenufaru. Kiedy próbowałem ją stamtąd rzucić woda wokół zakotłowała się i już na kotwicy miałem pierwszego szczupaka. Drugi, większy, wziął wahadłówkę obok obalonego przez wiatr drzewa. Jego gałęzie utrudniały prowadzenie błystki. Na nich to urwałem dwa gnomy, jednak trzeci połknął szczupak sporej wielkości.

Czas było wracać. Po drodze spotkałem Władka. Łowił na nieprawdopodobnie zarośniętym dołku. Przed jego plecakiem leżało kilka sztuk ładnych okazów.

– Jednak was znalazłem! – głośnie krzycząc Jurek wyszedł uśmiechnięty zza krzaków. Jego duży plecak mocno ciążył. Było pewne, że i on coś większego złowił.

Nie było na co czekać. Robiło się coraz ciemniej. Jurek poprawił czapkę i ruszyliśmy w powrotną drogę.

Najpierw ledwo wyczuwalny wiaterek zamienił się w ciepłe podmuchy zrywające czapki, znów ustawał i znów się wzmacniał. Wiedzieliśmy, że już nie zdążymy przed kolejną ulewą dojść do namiotu. Na wąskiej ścieżce coraz któryś z nas potykał się o gałęzie i słychać było bluźnierstwa.

Ulewa zastała nas na polnej drodze. Zdążyliśmy dobić do rozłożystego dębu i ukryć się przed czołem wodnej nawałnicy. Wydawało się, że grube drzewo ochroni nas przed zamoczeniem, gdyż deszcz zaczynał z ukosa.

Plecaki ułożyliśmy pod nogi, sami jak najszczelniej przyłgnęliśmy do pnia. Nie wiem, kiedy poczułem zimne krople spływające za kołnierz, później zaczęły ściekać z brwi, nosa, uszu. Powoli czułem się tak jakby mnie ktoś zanurzył w zimnej wodzie.

– Za jakie grzechy człowiek się tak męczy – pomyślałem. Wydawało się, że minuty zamieniają się w godziny. Wokół zimno, ciemno i w dodatku mokro, a przed nami w perspektywie najmniej cztery kilometry drogi.

Jurek widząc beznadziejną sytuację zupełnie wyszedł spod drzewa i zginął w ścianie deszczu. Był załamany. Nie było przecież innego wyjścia jak poczekać na osłabnięcie nawałnicy.

W tej beznadziejnej sytuacji jak objawienie zabłyśły dwa światła reflektorów. Nie wierzyłem, przetarłem oczy. Przy takiej depresji mogło to być złudzeniem.

Przed drzewem stanął gazik wojskowy, na którego szybach pieczołowicie pracowały wycieraczki. Kierowca spostrzegł naszą konsternację, bo przycisnął sygnał. Opamiętaliśmy się i każdy z nas szybko jak mógł pakował się pod brezentową budę. Wsiadałem ostatni. Oświetlone wnętrze robiło przyjemne wrażenie. Ten samochód był dla nas prawdziwym zbawieniem. Miejsce znalazłem na błotniku koła. Ruszyliśmy.

Przedemną siedziało dwóch myśliwych, ubranych w ochronne stroje, w tradycyjne kapelusze, ściskających pomiędzy kolanami

swe mauzery. Przyjaźnie się do nas uśmiechali. Gospodarze samochodu, kiedy zobaczyli ociekających wodą trzech wędkarzy, starali się utrzymać pomiędzy nami dystans, aby się nie zamoczyć. Nie wiem ile ujechaliśmy, kiedy zagadnął ten grubszy, z zakręconym wąsem.

– Jak tam, panowie rybacy?

Myślę, że patrząc na nas powiedział to na przekór. Władek udawał, że nie rozumie, o co zapytał i odpowiedział:

– Wam to dobrze! Taką bronią dziki sięgniecie z dwustu metrów. Sam dzisiaj spotkałem w trzcinach aż trzy sztuki. Jeden, obłożony jak diabeł, wyłaził z kąpieliska tak niemrawo, że mogłem go w d... kopnąć. Wie pan, że się nie bał, a u pozostałych widziałem tylko czarne zadki.



Myśliwi uśmiechnęli się mówiąc, że dziś to szczęścia nie mieli. Wprawdzie przyjechali jeszcze przed świtem, ale ten deszcz! Większość czasu przesiedzieli w samochodzie.

– Takiego fatalnego polowania jak długo tu przyjeżdżam nie pamiętam. W dodatku w czasie podchodzenia w trzcinach zamo-

czyłem lunetę i teraz mam zmartwienie jak usunąć z jej wnętrza krople wody – zwierzył się jeden z nich.

Dotąd siedzący spokojnie w narożniku starszy pan włączył się do rozmowy.

– A panowie nie odpowiedzieli na pytanie kolegi.

– Właśnie – wykrzyknął myśliwy z wąsem.

Władek honorowo rozsznurował plecak. Ukazały się w nim dwa rybie ogony. Jednego szczupaka wyjął. Na chwilę zapanowała cisza i jak się wydawało - konsternacja.

– Psiakrew! Zobacz Wojtek jaka sztuka – zauważył myśliwy.

– To się panu udało! Ile on może ważyć?

Rybę chwycił wpół i podniósł.

– No chyba siódemkę ma! Gratuluję!

– Proszę pana, to nie wszystkie!

Władek rozwarł szeroko plecak. Teraz naszym oczom pokazała się podobnej wielkości ryba.

– A wy, koledzy, wracacie chyba o przysłowiowym kiju – zaurokował pan z wąsikiem, jednocześnie kierując to pytanie pod moim i Jurka adresem.

– Ja złowiłem dwa, no nie takie wielkie – wyjaśniłem.

Jurek pokazał na palcach trzy sztuki.

– No popatrz, Wojtusi kochany, załatwili te ryby w myśl przysłowia: “suchy wędkarz, mokry strzelec, mają g... na widelec!”

– I to święta prawda, oj prawda – dodał nemrod.

Gazik skreślił ostro w prawo i byliśmy pod dębami, gdzie stał nasz namiot. Dziękowaliśmy za podwiezienie. Życzyliśmy naszym nowym znajomym, aby im “bór darzył”, a kierowca otrzymał od Jurka najmniejszego szczupaka. Kiedy zostaliśmy sami na polanie Jurek powiedział:

– Niech wiedzą, że wędkarze nie zawsze przesadzają, kiedy opowiadają o dużych rybach.

Prezent dla kierowcy ważył przecież ponad cztery kilogramy.

7. Rekiny Odry

Ubrani po łokcie w wodery i wojskowe L-1, z całym ekwipunkiem jakiego wędkarz potrzebuje na całodzienną wyprawę. Gęsiego, za Piotrem, zanurzaliśmy się powoli w zimnej wodzie. Rzeka właśnie tutaj wymyła sporo zdradliwych dołów i wyrw w grobli. Prawie pół godziny ją forsowaliśmy. Niektórzy mniej, inni więcej zamoczeni, dobrnęliśmy do zbawczego brzegu, a stamtąd już zupełnie łatwo pod wznoszącą się wśród rzecznej dębiny ”stójkę” – betonową strażnicę WOP.

Stąd z kilkunastometrowego jakby klifowego brzegu roztaczał się wspaniały widok na srebrną wstęgę Odry. Tu rwała i szumiała rzeka, opływała przybrzeżne wysepki, główki, ostrogi, tworzyła zakola, by dalej rozlać się szeroko z brzegów.

Od Cześka wiedziałem, że bolenie najliczniej upodobały sobie główkę drugą i trzecią, w lewo od ”stójki” oraz pierwszą i czwartą poniżej niej. Wybrałem tę najbliższą prowadzącą w lewo, Czesiek zaś poszedł łowić między główki.

Już przy kamiennym zejściu do rzeki usłyszałem plusk. Stałem za krzakiem łoży i przyglądałem się rybom, które jak gdyby ocierając się o śliskie kamienie rzecznej przegrody wyskakiwały i znów wpadały w jej szybki nurt, robiąc przy tym wiele hałasu. Były jednak bardzo ostrożne.

Moje pokazanie się na główce uciszyło je zupełnie, za to na obrzeżach głazów można było dostrzec dziesiątki srebrnych uklei. One to stanowiły nie lada atrakcję dla drapieżników – boleni, które tutaj znalazły sobie spiżarnię. Wydawało mi się, że złowienie ryby, która tak intensywnie żerowała, nie będzie trudne. Miało być jednak inaczej.

Rzucałem pod prąd i z prądem rzeki błystki różnego koloru

i kalibru, prowadząc je wolniej i szybciej wzdłuż główki i w nurcie, lecz bez rezultatu.

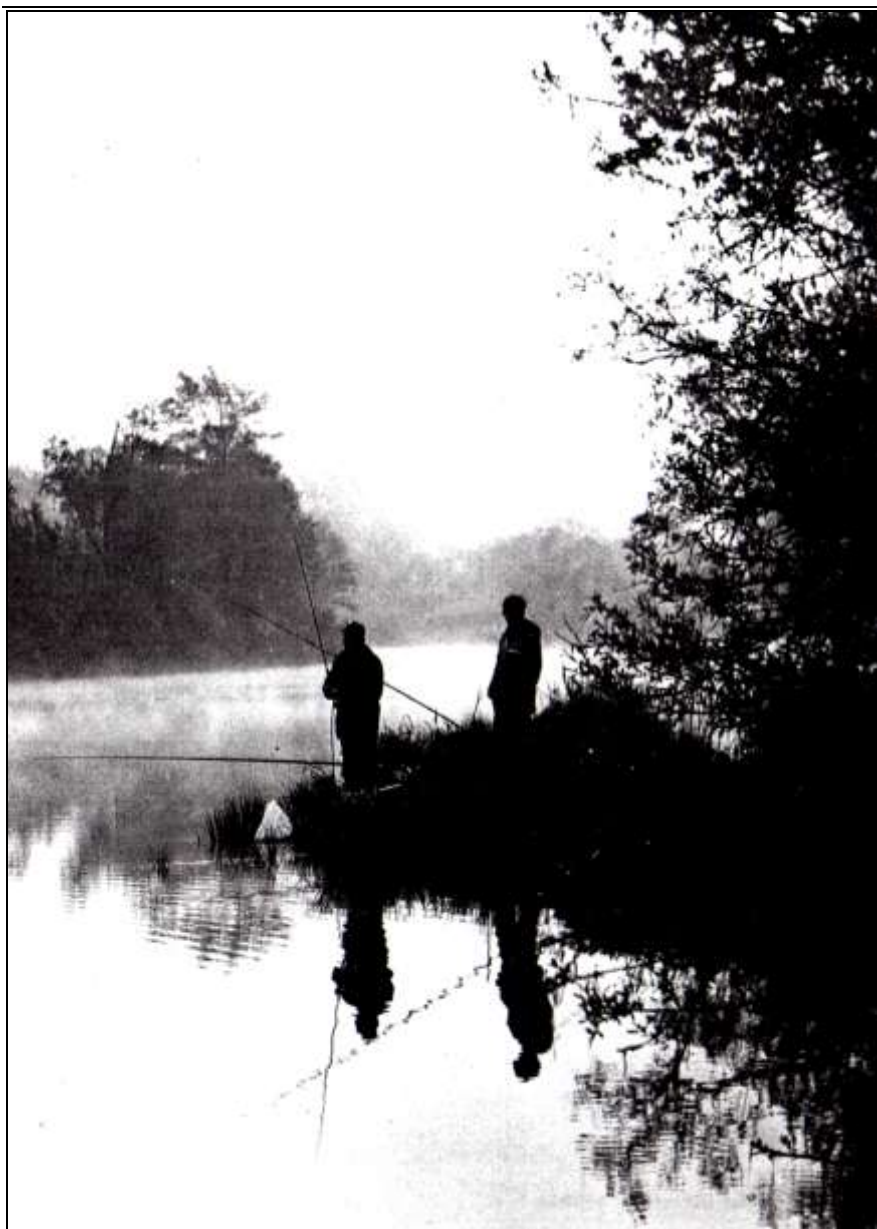
Po godzinie takiego machania spinningiem usiadłem pod krzakiem, by zastanowić się, co dalej robić. Nie zdążyłem pomyśleć, gdy niespodziewanie moje ryby zaczęły zabawę od początku. Teraz zauważyłem, że wyskakiwało ich jeszcze więcej, a jedna tak blisko, że oceniłem ją na kilogram wagi.

Zmieniłem przynętę na małą, srebrną wiróweczkę i starałem się zza krzaka rzucać przed buszujące ryby. Zabawa ta trwała dość długo. W końcu jedna z ryb dała się nabrać i w mojej siatce znalazł się pierwszy boleń, może półtorakilogramowy. Jednak był to pierwszy i ostatni na tej główce.



Ryby przestały zupełnie żerować. Zniecierpliwiony postanowiłem zdobyczą pochwalić się Cześkowi. Z dała zauważyłem, że siedział w cieniu dębu. Zdziwiony zapytałem, czemu nie łowi. Usłyszałem tylko:

– Siadaj! Obejrzał moją rybę, uśmiechnął się serdecznie i zapytał czy ją złowiłem na wędkę. Odpowiedziałem, że na spinning. Zdziwił się i po chwili dodał:



W oczekiwaniu na wielką rybę.



Tu żerowały wspaniałe okazy szczupaka.



Nadodrzańskie pejzaże.

– Wiesz, takie maluchy są roślinożerne, a ten połakomił się na blachę. To mi się nigdy nie zdarzyło. Popatrz, co ja złowiłem!

Wskazał ręką pod drzewo. Aż mnie замуrowało. Dwie olbrzymie ukleje wisiały na wystających sękach. Ryby jakieś dziwne, niepodobne do szczupaków, ani sandaczy – srebrne torpedy o wysuniętych dolnych szczękach, jakże różniące się od mojego niewinnego malucha. Czesiek wskazał tego większego i z dumą powiedział, że ma około sześciu kilogramów. Teraz zrozumiałem dlaczego już nie łowi, jednak chciałem się upewnić i zapytałem:

– Czy już skończyłeś na dzisiaj z rybami?

Uśmiechnął się i odrzekł:

– Odwrotnie, dopiero zacząłem.

Myślałem, że żartuje, ale on dodał:

– Zostań. Jest ich tu tyle, że dla nas obu wystarczy. Tylko zmień blachę na wahadłówkę podobną do listka.

Spinning uzbroidłem w przynętę identyczną, jaką miał mój sąsiad, bieloną stuprocentową cyną blachę, wówczas masowo wyrabianą sposobem chałupniczym przez wędkarzy. Kiedy byłem gotów i chciałem zejść w dół na piaszczystą mierzeję, Czesiek poprosił abym usiadł, dodając, że za chwilę zejdziemy razem. Przy okazji stwierdził:

– Te ryby są sprytne. Trzeba mieć wiele szczęścia, aby je przechytrzyć. Pokazanie się, czy hałasowanie na brzegu z góry przekreśliła pomyślny wynik.

Zatem nie było rady, trzeba było korzystać z doświadczeń kolegi. Wyciągnąłem termos z herbatą i dobrze nam się gwarzyło następne pół godziny. Zauważyłem jednak, że w czasie rozmowy Czesiek wzrokiem stale kontrolował nurt rzeki.

– Tak duża liczba żyjących tutaj boleni – powiedział – przypuszczalnie jest związana z tymi żółtymi mieliznami, na których wygrzewają się teraz w słońcu tysiące małych rybek.

Dochodziła czternasta. Było wyjątkowo gorąco. Nawet najmniejszy wiaterek nie ruszał listkami dębów, nie zmarszczył na

chwilę lustra rzeki. W takim właśnie bezruchu Czesiek zerwał się gwałtownie i krzyknął:

– Płyną, płyną! Rekiny Odry!

Rzeczywiście, w górę rzeki płynęły jakieś ryby. Co chwilę z wody wynurzały się ich ostre płetwy, by po chwili ponownie się zatopić. Odległość od brzegu była znaczna.

Szybko pobieглиśmy na piaszczystą łachę.

– Rzucaj daleko przed nie, daleko! – Usłyszałem słowa Cześka. Pierwszy rzut pusty. Przy drugim jakoś lepiej i z większą siłą wyrzuciłem błyskę. Srebrzyła się jeszcze nad wodą, kiedy daleki plusk i bryzgi wody niby fontanny wytrysnęły nad gładką powierzchnią rzeki. Jednocześnie błysnął w słońcu srebrny kształt ryby. Zamarł w bezruchu na chwilę i razem z ponownymi bryzgami wody wpadł w nurt. Żyłka jak cięciwa zadrgała ze świstem, zrzucając z siebie tysiące kropelek wody. Nastąpiła wspaniała chwila, niezapomniane przeżycie i wrażenie zatrzymane w pamięci.

Zacząłem skręcać luźną teraz żyłkę. Znów szok: ryba chyba poszła? Nie, jest! Żyłka ponownie się napręża, czuję jej siłę i wagę. Jestem szczęśliwy. Jakby z daleka słyszę głos Cześka:

– Chowaj się za krzak, zwolnij hamulczyk!

Mimo oszołomienia i walki z rybą docierają do mnie te uwagi i jak się później miałem przekonać, były one na wagę ryby.

Mój drapieżnik szedł teraz jak po sznurku, nie stawiał żadnego oporu. Zza krzaka już go widzę. Jak srebrne cygaro wypływa na złotą od słońca mieliznę piaskową. Głębokość trzydzieści, czterdzieści centymetrów. Ależ to olbrzymia ryba!

Na chwilę zapominam o ostrzeżeniu. Chcę ją mieć jak najszybciej! Ryba mnie zauważa. Woda się gotuje, żyłka ucieka ze szpuli, próbuję przyhamować. Nadaremnie! Wysuwa coraz więcej i więcej żyłki, ale już i coraz wolniej, widać słabnie. Próbuję zwinąć ją, nie reaguje. Dopływa i wynurza się z wody. Delikatnie staram się wyrzucić ją na piasek. Jestem oszołomiony, szczęśliwy, prawie pijany z radości!

Ten wielki boleń próbuje teraz stawać na łbie, wierci pyskiem w piasku lej, chce wyrwać zdradliwą kotwicę.

W tym czasie na wodzie dzieją się prawdziwe harce. Plusk, lecące w górę bryzgi, chmary przerażonych rybek wypadają na piassek. Niektórym udaje się powrócić do wody, inne pozostają i giną.

Wzburzoną rzekę niczym błyskawica przecinają srebrzyste potwory. Znów na chwilę wszystko ucichło, wraca do normy, by ponownie rzeka zamieniła się w gotujący zbiornik, a drapieżniki z jeszcze większą siłą atakowały bezbronne ukleje.

I tak dzieje się od lat nad brzegiem Odry porośłym dębami, przy wysokiej “stójce”, rzecznych ostrogach i główkach, które upodobały sobie małeńkie ukleje i żarłoczne bolenie.

Ryby ponownie wróciły przed szesnastą. Złowiłem jeszcze jedną. Jednak ta pierwsza ważyła prawie pięć kilogramów. Czesiek złowił cztery.

Niesamowita żarłoczność boleni, sposób ich walki, zapalczliwość w obronie po zaczepieniu jest godna podziwu, a ich wrodzona ostrożność zapewnia im przetrwanie.

Zapada fioletowy zmierzch. Z pobliskich oczeretów dochodziły odgłosy kwakania kaczek, daleko z trzcin słychać było trąbienie bąka. To był już ostatni akord tego dnia i wspaniałej przygody.

Kiedy odmeldowaliśmy się w straźnicy, żołnierz z uśmiechem zapytał czy potrzebujemy ręcznika. Zaprzeczyliśmy. Tutaj przecież wiadomo, że z tej wody bez ryby się nie wraca.

W następnych latach złowiłem jeszcze wiele, boleni, lecz w mej pamięci pozostały te pierwsze, z Odry w Namyslinie, złowione w czasie wiosennego, osnutego tajemniczą mgiełką wylewu rzeki.

8. Wiosenne sandacze

Starorzeczka Odry pomiędzy Łomianką a Kanałem Krzesińskim, od Połęcka aż po ujście Nysy Łużyckiej i granice z Niemcami! Zalegały opary i kosmate mgły. Wielkie kłęby jakby szarej waty poruszały się po mokradłach to w jedną, to w drugą stronę, odsłaniając czasami czarne sylwetki uschłych, zatopionych drzew i łany żółtych trzin. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale robiło się coraz jaśniej. Słychać było odległe kwakania kaczek, a różowe niebo zapewniało dobrą wędkarską przygodę.

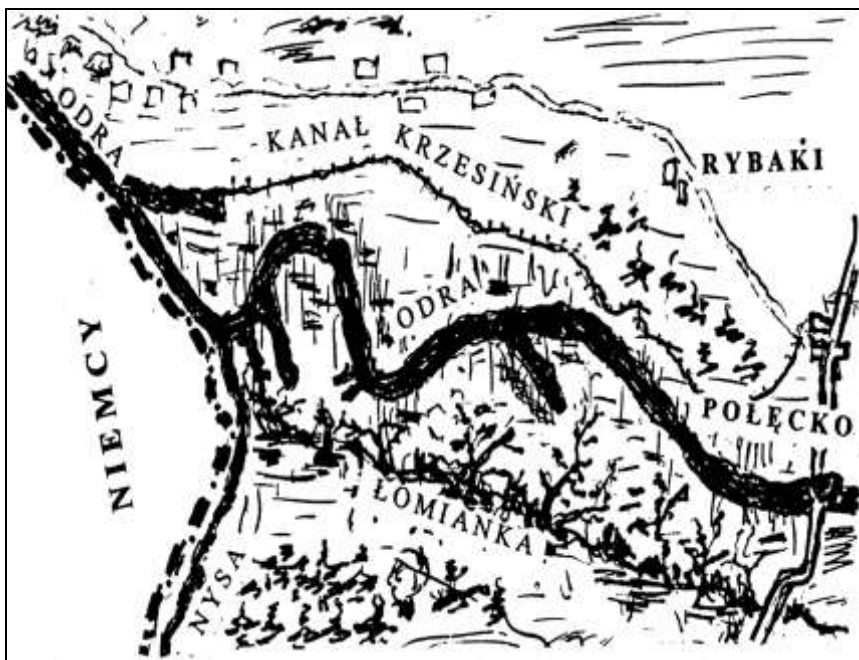
Ten tajemniczy zakątek rozlewisk rozciągał się za wałem, który rzecze nie pozwalał na wiosnę rozlewać się zbyt szeroko. Za to każdego roku wody zatapiały tu dziesiątki drzew, połacie trzin, żłobiły nowe kanały i tworzyły głębokie rozlewiska. Pełno było tu powalonych drzew, wysepek i rozkopanych brzegów. Miejsca te upodobało sobie wiele gatunków małych i dużych ryb. W praktyce było to rzadko odwiedzane łowisko. Najczęściej wędkarze woleli łowić z łatwiejszego, twardego i bezpiecznego brzegu rzeki.

Byli jednak i tacy śmiałkowie, którzy znali ukryte pod wodą groble i przejścia, wchodzili na nie ze spinningami i przynosili wielkie ryby. Często można też było zobaczyć je rozwieszone na krzaczastych wierzbach obok wału. Suszyły się i połyskiwały srebrem, wabiły swą wielkością i wdziękiem.

Mój kolega Andrzej był wytrawnym wędkarzem, a łowisko w Połęcku odwiedzał najczęściej. Twierdził, że ma do niego największą słabość ze względu na pierwotny, dziki krajobraz tej wody i wielkie ryby, które w nim złowił.

Przyjechaliśmy tu razem w początkach czerwca. O świcie wszedłem na wał przy rozlewisku. Widok, jaki się przede mną rozciągał oczarował mnie całkowicie. Ogrom wody był nieprawdopo-

dobnie wielki, nurt trudny do określenia, płynące korzenie i gałęzie, poszarpane przez wodę brzegi. Z niedowierzaniem i niepewnością przyglądałem się tej wodzie.



– Głowa do góry! Nie martw się – powiedział do mnie Andrzej.
– Bez bolenia, czy szczupaka stąd nie wrócimy.

Kiedy zobaczyłem, że kilku wędkarzy bez problemów weszło w sam środek mętnego nurtu, nawet zacząłem wierzyć jego słowom.

Ubrani w szczelne wodery, ze srebrnymi wahadłówkami na spinningach weszliśmy w wodę. Szliśmy wzdłuż wirującego nurtu, po żwirowym dnie do zwalonego dębu i wielkiej kępy trzciny. Woda tu była mętna, a piaskowa podwodna grobla ginęła w głębokim nurcie. Miejsce to było wymarzone do wędkowania. Andrzej poszedł na koniec trzciny i zginął mi z oczu.

Błystkę prowadziłem powoli, pozwoliłem jej płynąć po łuku, raz głębiej, potem płytko. Jednak bez efektu. Wiele z nich zerwałem zahaczając o podwodne kamienie i kłody. Często je wymieniałem na inne wahadłówki. Dopiero po jakimś czasie błystka spadła obok zatopionego konaru i ryba chwyciła. Usiłowała wpłynąć w trzciny, ale w końcu udało mi się ją wyjąć bezpiecznie. Był to pierwszy szczupak około 60cm długości.

Byłem szczęśliwy, choć miejsce to wydało mi się spalone. Przecież narobiłem tu tyle hałasu! Postanowiłem przesunąć się dalej do otoczonego wierzbami dołu. Przy pniu znalazłem skarpe, za którą dno szybko schodziło w głębinę. Woda tu była spokojna, brązowa, prawie przezroczysta, osłonięta dokoła gałęziami drzew.

Wybrałem srebrno czarny listek i metr po metrze obrzucałem ten zalew, bez najmniejszej oznaki na istnienie tu ryb. W końcu zmieniłem go na ciężkiego woblerka, pozwoliłem mu opadać na dno, a było tu głęboko. Przynętę podrywałem co chwilę. Za czwartym rzutem tuż przy samym brzegu ryba delikatnie wzięła. Poczekałem moment i żyłka zaczęła uciekać. Podciąłem, poczułem opór, ale ani na chwilę nie zwolniłem hamulca. Rybę holowałem spokojnie, jakbym zahaczył jakąś namokniętą deskę. Odsunąłem się od brzegu, ukryłem za krzakiem i spokojnie zwiјаłem żyłkę.

Po chwili ukazał się srebrny sandacz. Zobaczył mnie i ponownie popłynął w dół. Po wybraniu z pięciu metrów żyłki znów pozwolił się spokojnie przyholować i wyjąć z wody. Półmrok, który tu zalegał, nagle znikł, a moim oczom ukazał się leżący na piasku wielki sandacz. Na zahaczonej wadze wskazówka zatrzymała się na 5,60 kg. Na pewno Andrzej mi go pozazdrości. Rybę szybko umieściłem w sadzyku, a woblerka powędrował znów do wody. W tym samym miejscu złowiłem jeszcze jednego sandacza, choć o wiele mniejszego. Potem ryby zupełnie przestały brać.



Wczesnym rankiem – wzdłuż rzeki ciągnęły dzikie gęsi.



Często wielkie okazy ryb były nagrodą za cierpliwość i trudy wędkarzy.

Przed obiadem wrócił Andrzej. Miał w plecaku wielkiego szczupaka, dwa duże okonie i leszcza, którego zahaczył kotwicą. Obaj byliśmy zmęczeni i mokrzy, ale i szczęśliwi z udanej wyprawy.

Wracaliśmy z planami powrotu tutaj jesienią.





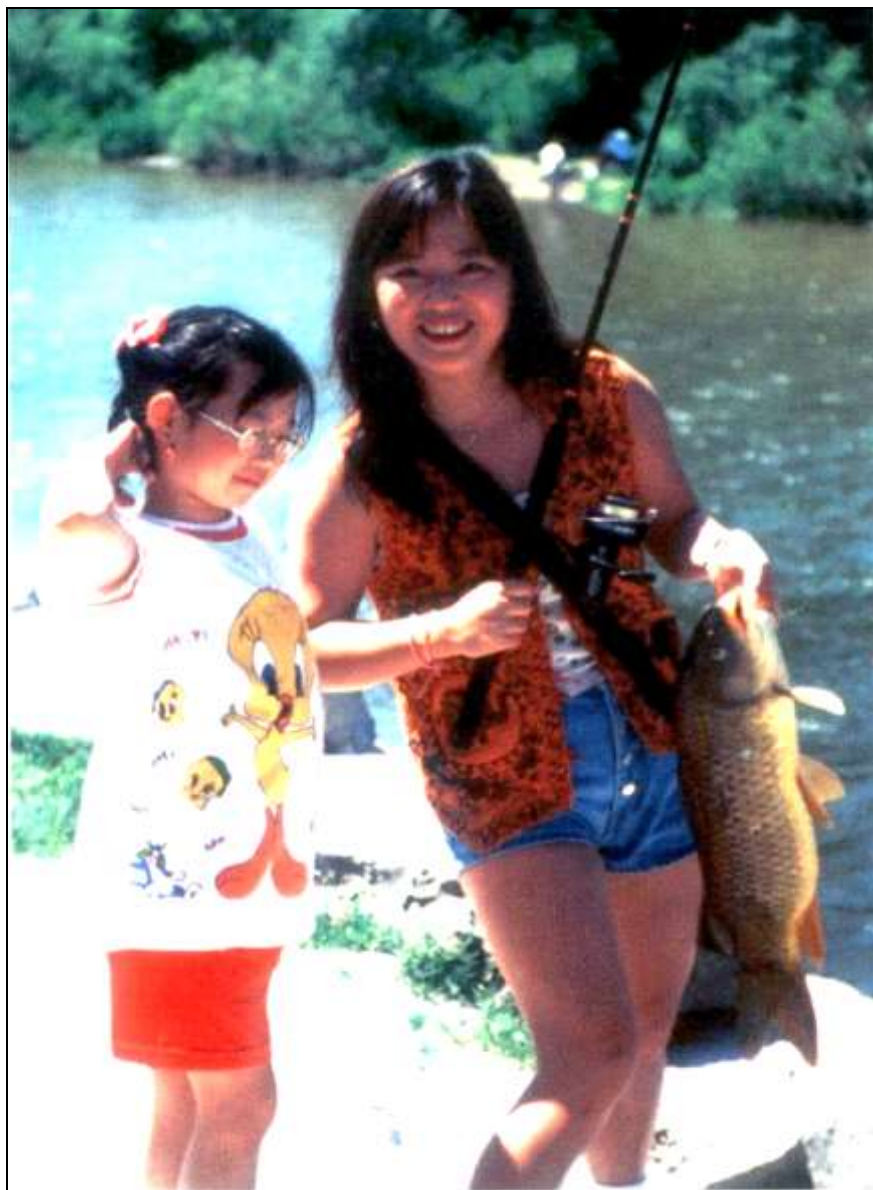
ŁOWY NA WODACH KANADY







Jezioro Christian Island obfitowało w wielkie okazy ryb.



Pozuje nam do zdjęcia, jest szczęśliwa, uśmiechnięta, przyciska rybę jakby to był jej największy skarb.

9. Słonecznice

Z jechaliśmy z „Highwaya” prowadzącego z Toronto na drogę nr 5 zwaną tu Muskoka Road, biegnącą na koniec półwyspu do małej przystani Honey Harbour, położonej w archipelagu Georgian Bay. „Vana” prowadził Arthur. Jechaliśmy krętym asfaltem wzdłuż jeziora, którego jasna tafla prześwitywała między drzewami. Po czterdziestu minutach byliśmy na miejscu.

Kierowca wysiadł i zszedł na pochyły brzeg zatoki, długo się zastanawiał, sprawdzał grunt i poziom wody. Było nas sześcioro i wszyscy mieliśmy spędzić parę dni nad Kamienną Zatoką na wyspie Beausoleil Island. Honey Harbour to mała miejscina z przystanią dla żeglarzy, kajakarzy i mówiąc najogólniej – dla wodniaków. Z bazą informacyjną w stylowym żółtym domku z zielonym dachem, kościołem i różnymi sklepikami. Zaopatrywano się tu w żywność, worki z lodem do chłodzenia napojów, drewno na paleniska i inne akcesoria do biwakowania na odludziu.

Nad samą wodą koło przystani, umieszczono na granitowej skale pamiątkową tablicę ze złożonym wizerunkiem Samuela de Champlaina - zwanego „Ojcem Kanady”, na pamiątkę jego pobytu tu w 1615 roku. Champlain był sławnym francuskim odkrywcą i kolonizatorem, który pierwszy dotarł do Wielkich Jezior znad rzeki Świętego Wawrzyńca. Dzisiaj wiele jest takich monumentów w dolinie tej rzeki na przestrzeni 1100 km, upamiętniających wydarzenia historyczne z tamtych lat, a tereny te nazywa się kolebką Kanady. Kiedy Champlain podjął podróż w górę rzeki, kraj ten był dziki i trudno dostępny. Majestatyczna rzeka i pięć Wielkich Jezior z których czerpie swe wody, tworzyło wielką arterię sięgającą do serca Kanady. Champlain zrobił wszystko, by spełnić życzenia swoich władców i skolonizować nowe ziemie. Już w 1615 roku

przybyli tu misjonarze - jezuici i franciszkanie, nawracając Indian na katolicyzm. Ściągnięto też wielu wieśniaków, których życie toczyło się wśród dziewiczych puszczy w poczuciu swobody nieznanego wówczas we Francji. Tutaj właśnie, w czasie drugiej wyprawy w głąb lądu, Champlain spędził zimę wśród Indian. Nawiązał z nimi korzystne stosunki handlowe i udzielał pomocy. Wstąpił także na ścieżkę wojenną razem z Algonquinami i Huronami przeciwko Mohawkom, należącym do szczepu potężnych Irokezów. Rosnące zapotrzebowanie na futra w Europie, konflikty te, zaogniło i doprowadziło do otwartych wojen na tle terenów łowieckich wśród Indian. Ten właśnie starodawny szlak handlowy futer i misjonarzy umożliwił napływ ludności do Kanady oraz zasiedlenie jej coraz większych terenów.



Motorówka sprawnie została opuszczona na wodę przy pomocy wielokrążka. Załadowaliśmy ją całym naszym dobytkiem potrzebnym do biwakowania. Cudem znaleźliśmy miejsce, żeby w niej, jako tako usiąść. Marcin i Sanka zajęli miejsca na dziobie łódki przed oszkloną kabiną kapitana, który operował 115-konnym silnikiem, sterami i kontrolował echosondę wykrywającą podwodne skały. Obok Marysia z Beatą znalazły sobie ciepłe siedzenia osłonięte od wiatru i bryz wody. Ja zaś siadłem z tyłu przy silniku, w pióropuszcach wyrzucanej wody i w bryzgach fal, które przelatywały przez burty. Z aparatem fotograficznym pod kamizelką ratunkową byłem zmoczony zdrowo, ale i tak nie mogłem protestować,

ponieważ huk silnika zagłuszał najgłośniejszy krzyk. Godziłem się z losem zawsze, gdy siadałem do łodzi.

Aby być wobec siebie i innych w porządku udawałem, że ciągnę za łódką spinning z woblerem na dużą rybę. Zresztą nie byłem w tym działaniu odosobniony. Na każdej przepływającej obok nas łódce były co najmniej dwa spinningi, które na żyłkach ciągnęły najrozmaitsze przynęty, a ich opiekunowie byli tak samo mokrzy jak ja. Arthur był urodzonym rajdowcem i niejeden jego samochód zawisł na bandzie w wyścigach, lub się spalił. Trudno było utrzymać mu nerwy na wodzy, ponieważ szybkość i gaz to jego hobby i pasja.

Tak dotarliśmy do stacji benzynowej na wodzie, a raczej na wyspie, gdzie dbano o wszystkie potrzeby klienta. Czegóż tu nie było w płaskim barakowym pawilonie. Super lody, sprzęt traperski i biwakowy, a obok stoisko wędkarskie. Chyba tak dobrze zaopatrzonego sklepu nie ma na stałym lądzie. Wszystko, co dusza zapragnie. Echosondy do wykrywania ryb, sondy głębokościowe, GSP, sieci, woblerzy i blachy akustyczne testowane na przyległym brzegu lub z łódki zaraz po zakupie. Szybko wychodziłem ze sklepu, aby nie patrzeć na te cacka wędkarskie, które niejednokrotnie były warte majątek. Wołałem przyglądać się wędkarzom, a ci jakoś nie szukali samotności łowiąc w grupach, co było z początku dla mnie dziwne.

W jednym miejscu wielu wędkarzy łowiło z łódek przy kamiennej główce bicząc spinningami wodę, a obok ciekawe miejsca były puste. Później dopiero mogłem zorientować się, że właśnie tu, naprzeciw kamiennych podwodnych progów zlokalizowano przy pomocy sond olbrzymie ryby „Maski”, osiągające wagę powyżej 30 kg. Każdy z wędkarzy próbował swego szczęścia, bo ono mogło zdarzyć się tu, przy skalnym brzegu obok stacji benzynowej.

Marek mówił mi wcześniej, że „Maski” - wielkie szczupaczyska Ameryki Północnej lubią przebywać obok doków, ale tu w pobliżu tankowania śmierdzącej cieczy, to było co najmniej dziwne. Byłem też ciekaw sposobu połowu tej największej z ryb.

Przy pomocy spinningu wyrzucano wobler, a raczej woblerzyska. Owe sztuczne rybki mające powyżej 25cm długości nie miały klasycznych sterów, a jedynie wycięcia z przodu korpusu i były niesamowicie barwne. Ta sztuczna rybka nie schodziła głęboko pod powierzchnię wody. Prowadzona była zygzakami, nad kobierzcami podwodnej roślinności.

Z zaciekawieniem przyglądałem się tym wędkarskim wyczynom. Wędkarzy mobilizowały chyba rozmieszczone tu plakaty i zdjęcia pokazujące te wielkie ryby trudne do udźwignięcia. Łowienie z łódki zapewniało sukces, gdyż po uchwyceniu przynęty można było rybę wyprowadzić na otwartą wodę. Wędkarze przekładali swe spinningi z ręki do ręki, aby co chwilę zmieniać kierunek płynięcia sztucznej rybki.

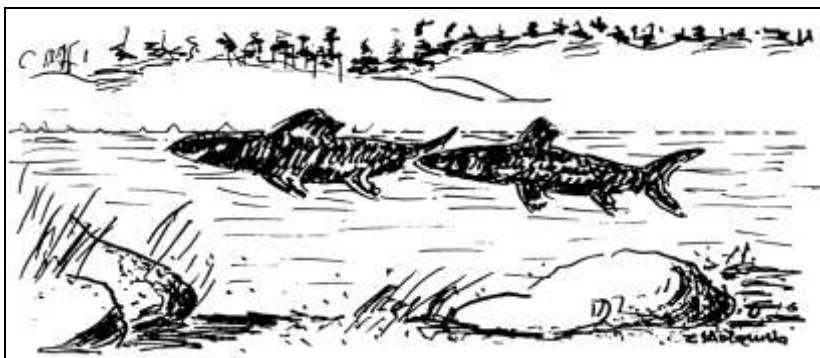
Stanowiliśmy zgraną paczkę i sprawnie zajęliśmy w łodzi swoje miejsca. Mercury bez problemów zaczął miarowo pracować. Powoli wypłynęliśmy na otwarte jezioro, trzymając się wytyczonego szlaku. Woda była przezroczysta, toteż raz po raz - o zgrozo, odkrywaliśmy po obu stronach łodzi olbrzymie głazowiska, które gęstniały aż do samej skalnej gardzieli wykutej dla drożności żeglugi.

Przed nami roztaczała się otwarta przestrzeń zburzona grzywaczami wody z zatopionymi garbatymi skałami, na których stały wkomponowane w pejzaż ciekawe domki. Te małe skalne wysepki miały swoje nazwy, takie jak wyspa – „jednego drzewa”, „małej zatoki”, „kamiennych krzyży” itp. Nasza motorówka minęła Przyładek Cedrowy i wpłynęła do Kamiennej Zatoki, ponoć obfitującej w północne jaskrawo ubarwione szczupaki oraz w Bassy - ryby podobnej do naszego okonia, tylko większej, o wadze cztery do pięć kilo. Kamienna Zatoka - miejsce na tym wielkim jeziorze stworzone przez naturę, gdzie każda skała, woda i puszcza to pejzaż warty pędzla najświetniejszych malarzy czy artystów fotografików. To, co tu można zobaczyć, daje poczucie ludzkiej małości wobec przepychu i piękna natury.

– Ile zrobiłeś dzisiaj zdjęć? Chyba cały film – zapytała Beata.

– Cały i jeszcze kilka klatek – odpowiedziałem.

Beata zabrała ze sobą dodatkowe stroje, aby w tym plenerze zdjęcia były niepowtarzalne. Skały, karłowate sosny i lazurowa woda tworzyły tu gotowe tło i plener. Trudno więc, by aparat leżał bezczynnie. Marcin całymi godzinami pływał a panie korzystały z kąpieli słonecznych oraz przygotowywały posiłki. Komandor z powagą na krześle popijał piwo, a ja ze Sanką łowiliśmy ryby.



Lipcowe słońce grzało zdrowo, z lasu szły zapachy kwitnących sosen i bagiennych kwiatów, a myśmy mieli wizję złowienia dużej ryby. Niezmącona woda, jak w lustrze odbijała wysokie sosny, niebo i pierzaste obłoki. Kiedy rzucony daleko spławik zdołał się wyprostować, już tonął. Po skręceniu żyłki haczyk był pusty, a kupione w Honey Harbour pudełko dżdżownic szybko się opróżniało i nijak ryba nie chciała się zahaczyć. Dopiero, gdy zmieniliśmy wędki na lekki i delikatny sprzęt ryba wzięła i udając siłacza zaczęła ciągnąć żyłkę na środek zatoki. Walka z nią trwała jednak krótko, a kiedy pokazała nam się zdobycz, oniemieliśmy z wrażenia. Sanka krzyknęła – sunfish! Cóż to za akwaryjna kolorowa rybka z czerwoną plamą i zapasowym straszącym okiem.

Rybce tej Sanka zwróciła wolność, ale kiedy po raz dziesiąty i dwudziesty te kolorowe żarłaczce zahaczały się na wędkę, byliśmy rozgoryczeni i rozczarowani. Okazało się, że „słonecznice” w tych jeziorach są rybim chwastem. Osiągają od 15 do 20 cm długości.

Ryby te zamieszkują głębokie i spokojne wody – takie jak tu. Są dużymi żarłokami, wyżerają ikrę innych ryb oraz mały narybek.

Dopiero pod sam wieczór obok naszych splawików pokazały się dwie czarne płetwy dużej ryby. Była bardzo ostrożna, reagowała na każdy najmniejszy ruch i hałas. Lekceważyła nasze przynęty. Zainteresowały ją chyba „słonecznice”, które zgromadziły się tu czekając na naszą karmę. Na spinning założyłem obrotówkę i rzucałem w miejsce ukazywania się ryby – lecz bez efektu.

Zmieniłem blachę na otrzymany od Józka „vibrax” - błyskę z wabikiem akustycznym. Tym razem ryba dała się nabrać, a błyska sprowokowała drapieżnika do ataku. Uderzył zaraz po przeciągnięciu paru metrów żyłki. Opór był tak silny, iż wydawało się, że ryba będzie bardzo wielka. Doznałem przypływu radości. Przypominałem sobie olbrzymie „Maski” z afisza i kalendarzy ze stacji benzynowej.

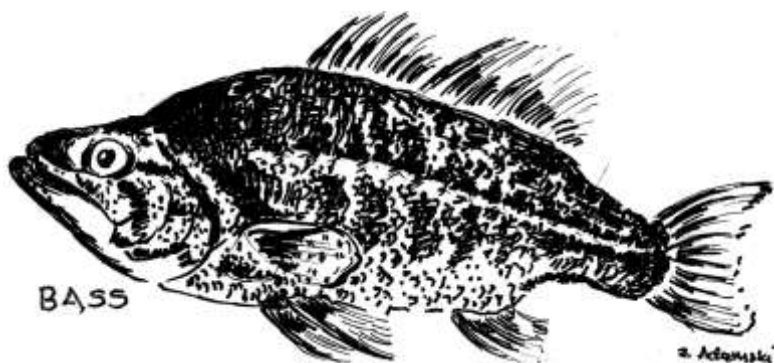
Kiedy ryba osłabła i pokazała zielony brzuch, złudzenie wielkiej ryby prysło jak bańka mydlana. Z daleka duża walcząca sztuka, a nad brzegiem jakiś mizerny okonek udający siłacza. Zadziorny i nerwowy. Trudno go było wyjąć z wody.

Naoglądałem się filmów sprzed lat i uwierzyłem, że w Kanadzie na tych jeziorach niemal każdy rzut to „szczupaczysko” – no, może nie Maski, ale duża ryba, a tu na błyskę z wabikiem za 4 dolary złowił się Bass, a raczej zaledwie jego dziecko. Gdzie są te duże mityczne ryby? Głowa tego Bassa stanowiła 1/3 jego całej długości. Przypominał nieco naszego okonia, był jednak smuklejszy. Przebywa w głębokich wodach, osiąga tu wagę do 4 kg, a obok w Stanach nawet 8 kg. Ceniony jest przez wędkarzy ze względu na smaczne mięso i sportową walkę.

Dalsze biczowanie wody nie przyniosło żadnego efektu. Powoli zapadał zmrok. Na jezioro wypłynęło wiele oświetlonych łódek z elektrycznym napędem i spokojnie, ale miarowo opływało wszystkie zatoczki i przybrzeżne trzciny, ciągnąc za sobą blachy, woblerki i inne przynęty. I to chyba była przyczyna tego, że tu ryby nie biorą. Nic straconego, jutro przypłyynie Andrzej, a on zna ma-

teczniki i El Dorada rybich drapieżników. Powetujemy sobie dzisiejszą stratę.

Następnego dnia, zaraz po południu Arthur opłynął podwodne wyspy i dotarł do zatoczek pełnych podwodnej roślinności, które Andrzej pamiętał z najwspanialszych wędkarskich sukcesów. Dwa spinningi - mój i jego, biczowały wodę wzdłuż i wszerz. Wymienialiśmy, co raz to inne blachy oraz woblerki - i nic, żadnej ryby. To przecież upiorny humor. Te ryby z nas kpią, a może przyczyna leży w tych setkach motorówek, przed których hałasem drapieżniki te kryły się w ostatnie dziury. Przestałem łowić, dałem szansę kole-dze, by potwierdził to, co wcześniej opowiadał. Dziś wołałbym, by Andrzej nie mówił o wielkich szczupakach i sukcesach na tych wodach. Myślę, że i tu na Georgian Bay przyroda cofa się na północ pod naporem cywilizacji.



10. Piranie

Z Koźlej Zatoki wypłynęliśmy w poniedziałek 31 sierpnia. Naszym celem był rezerwat przyrody na wyspie Giants Tomb (Gigantyczny Grobowiec) w archipelagu Georgian Bay. Pogoda zapowiadała się plażowa, wiatr nie był wielki, a nasza motorówka poza leżakami i sprzętem foto-filmowym nie była zbyt obciążona.

Arthur wpływając do kanału przy Psim Półwyspie, zaraz na początku wpadł na nieoznakowaną skałę, która parę centymetrów pod wodą czyhała pośrodku nurtu na takich naiwnych, co nie włączali echosondy. Niby nic się nie stało, ale zauważyłem zdenerwowanie sternika, bo mimo zwiększonych obrotów silnika, łódka jakoś spowolniała. Płynęliśmy wzdłuż Jeleniej Wyspy, w gardzielach skalnych na otwarte jezioro.

W ciągu kilku zaledwie minut, niezbyt jeszcze wysokie fale zaczęły ciągle wzrastać. Zaczęły się ukazywać krokodyle grzbiety najeżone kolcami granitowych skał. Fale odsłaniały ich czarne korpusy, biegnące dziesiątkami metrów wzdłuż naszej trasy. Widząc niebezpieczeństwo, podświadomie każdy z nas sprawdzał zapięcie kamizelek ratunkowych. Tym bardziej, że jezioro stawało się równomiernie białe od piany. Strach zaczął zaglądać nam w oczy. Czy był to skutek wypłynięcia w poniedziałek, czy to вина „Jonasza”?

Walczyliśmy z tymi falami o utrzymanie kursu, przy niesprawnym silniku. Kierowaliśmy się na wielkie wody jeziora, skąd już wokół nie było widać lądu. Dopiero po godzinie nerwowego płynięcia, przed nami wyłoniły się czubki sosen wyrastające wprost z wody. W miarę zbliżania się, także i wyspa odsłoniła nam swój kształt olbrzymiego rogała, ze słoneczną piaszczystą zatoką. Napię-

cie niepewności i strachu zmalało, choć nie do końca, gdyż mieliśmy w wyobraźni powrotną drogę z uszkodzoną o skałę śrubą.

Gigantyczny Grobowiec zbliżał się do nas coraz bardziej, a jego bezludne plaże wprawiły nas w zachwyt, później także w niepokój. Czy był to skutek nazwy tej wyspy, czy też wrogich warunków, które tu panowały w czasie sztormu pochłaniając wiele istnień ludzkich, a także odstraszać żeglarzy i wodniaków do zagładania w te strony.

Płytkie piaszczyste brzegi nie pozwalały spokojnie dopłynąć do wyspy. Trzeba było zatem płynąć łódką na bardzo wolnych obrotach silnika, mieląc pod nią mialki piach. Woda była kryształowo czysta do samego dna, bez śladu roślinności.

Dziś była tu skąpana w słońcu „plaża marzenie”, niczym na wyspach Bahama, o piasku, którego nie czuło się pod stopami. Za to niewidoczny, niesiony z wiatrem, żłobił rowki na twarzy wpadając we włosy i oczy, a co najgorsze, w mechanizmy aparatów i kamer. Obiektywy natychmiast siadały i przestawały się kręcić. Nasza kamera Sony, choć nie była to wina piasku niesionego przez wiatr, a Marcina, który pozostawił ją na krześle, spadła w piach i fakt faktem już nigdy nie udało się jej uruchomić. Zastanawiającym było znów, czy to wina poniedziałku, czy „Jonasza”...

Wyspa ta leży pośrodku niewyobrażalnie wielkiej wody. Nawet przez lornetkę trudno było dojrzeć któryś z przyległych brzegów. Z mapy i w podświadomości wiedzieliśmy, że na południe stąd znajduje się Prowincjonalny Narodowy Park Przyrody „Awenda”, za plecami „Manitoulin” - rezerwat Indian, a na zachodzie trzy wyspy, również indiańskie. Na wschodzie aż gęsto od wysp i wysepek, w dorzeczu rzeki Savern. Księżycowa plaża przyciągała jednak i hipnotyzowała, a oba jej krańce wschodni i zachodni to głazowiska z usypanych kamieni. Toczonych w wodzie w te i z powrotem, w czasie sztormów wyszlifowanych i zaokrąglonych do niewiarygodnej doskonałości.

Większe kamienie obielale przez kormorany, mewy i rybołowy. Te w wodzie czyste, okrągłe jak granitowe kuleczki o różnych za-

barwieniach, od podobnych do sielankowych nefrytów do połyskujących złotem pirytów. Po wyjęciu z wody te piękne okazy traciły trochę swój blask, ale i tak parę kamiennych kuleczek Marysia przywiozła do Polski.

Byłem bardzo ciekaw, kto zamieszkuje tę wyspę. Na piasku tej nie lubianej plaży powtarzały się odciski szponów rybołowa, leżały wybielające kości ryb i małży, a obok na sypkiej wydmie żmijka zmatowiała piach sunąc w dół. Pod rozdartą przez wiatry karłowatą sosną kamienne koło, a w nim zastygłe polana dawnego ogniska. Komu z wodniaków zechciało się obłożyć ogień tak misternie równymi jak paciorki kamieniami?



Obok wycięte na korze drzewa znaki węża i żółwia. To świadectwo roboty Indian. Na ziemi ślady znanego zamaskowanego hultaja, złodziejaszka i awanturnika - szopa pracza. Jak on się tu dostał na tak odległą wyspę? Trzeba go jednak podziwiać, żyje on przecież nie tylko w lasach, ale we wsiach i miasteczkach Północnej Ameryki. Tak jak tutaj, każdej nocy szopy zjawiają się przy śmietnikach i wysypiskach wywracając pojemniki ze śmieciami i wyjadając ich zawartość. Są to najbardziej psotne zwierzęta na

świecie, a zjadają wszystko - nornice owady, ziarno, żaby i ryby. Gdzie się pojawiają ludzie, stają się ich niewidocznymi sąsiadami, tak jak tutaj.

Kiedy wiosną jechaliśmy na ryby, mała grupa szopów przy drodze zbierała od kierowców pokarmy.auta zatrzymywały się na poboczu, a kierowcy spełniali życzenia szopów. Nasza łódka z daleka przypominała maleńką łupinkę, na tym wielkim ciągnącym się po horyzont brzegu zatoki. Była jednak jedyną nadzieją na wypłynięcie z tych pustych bezkresnych wód.

Już po godzinie samotność przerażała, budziła strach i mimo surowego piękna tej wyspy czuło się niepokój i jakąś dziwną obcość. Za plecami mieliśmy wysokie wydmy, a dalej las powyginanych od wichrów drzew, powyrywanych pni obdartych z kory i znajdujących się wśród nich klonowych liści tryskających czerwienią. Tu, jako pierwsze spotykają się z jesienią, stąd zabarwiają się najwcześniej, pod wieczór dając złudzenie płonącej ogniem wyspy. Cóż to za wspaniałe niepowtarzalny widok na tym odludziu, a względna cisza w zatoce stwarza jedynie pozory bezpieczeństwa.

Zagrożenie jednak skradało się do nas od spodu. Zachęteni wodą, piaskiem i gorącym słońcem wpadliśmy do wody niemal, że jednocześnie. Biegliśmy dalej i dalej, by, choć do pasa zanurzyć się w kojącym chłodzie. Ta plaża, woda i niebo to sama rozkosz, jaką stworzyła natura, dla nas mieszczuchów. Spokój i cisza dla ukojenia nerwów to był cel najważniejszy. Pływaliśmy nad tym pofałdowanym żółtym piaskiem w pozornie pustej wodzie, bez śladów życia.

Kiedy jednak stawało się na moment dla odpoczynku, odczuwało się bolesne szczypanie na zanurzonych częściach ciała. Po chwili miałem wrażenie, że wpadłem w pokrzywy, a może mi się tylko wydawało. Ruchy nogami nic takiego nie potwierdzały, woda dalej była przezroczysta i dno puste. Ponownie stanąłem i ten sam ból. Nie panikując, dokładnie przyglądałem się jego przyczynie.

Dopiero teraz odkryłem – o zgrozo, dziesiątki maleńkich, dwutrzycentymetrowych rybek, które oblepiały moje ciało i jak pijawki

przyczepiały się do skóry, wywołując nieprzyjemne parzenie. To ci bestie, to tutejsze piranie! Trzeba było je nieustannie odstraszać i strząsać z nóg. Toć przecież tu nie da się kąpać, człowieka zjadłyby żywcem. Jak szybko wskoczyliśmy do tej wody, tak szybko wróciliśmy na brzeg z poparzoną skórą.

Ten dzisiejszy „Jonasz” prześladował nas i doświadczał okropnie. Uszkodzona śruba, strach przed rozbiciem się na podwodnych skałach, zepsuta kamera i te żarłoczne rybki – to wszystko chyba jego sprawka.

W końcu drobną siatką udało mi się złowić te niewidoczne żarłoczne rybki. Rzeczywiście były maleńkie, o grzbiecie w kolorze piasku, nie do odkrycia gołym okiem. Kształtem przypominające ukleje, lecz o grubym kwadratowym tułowi z pyszczkiem lepiącej się pijawki. Pływałem w wielu jeziorach prowincji Muskoka i Perry Sound, ale nigdzie podobnie zamaskowanych żarłoków nie spotkałem. Teraz jednak wiedziałem, ile niebezpieczeństw czeka na żeglarzy i wodniaków, którzy próbowaliby wylądować na samotnej wyspie Gigantyczny Grobowiec.

Miałem już dosyć tej wyspy, tych mielizn i podstępnych żarłocznych rybek. Niszczącego wszystko piasku, zdradliwych podwodnych skał, a także „Jonasza”, który owego poniedziałku trzymał się nas tak uporczywie i niezdolnie, do końca tego dnia.



11. Kłątwa Nanabusha

Za bardzo oczy będą cię bolały od tych profesjonalnych pułapek na ryby – usłyszałem od Józka. Rzeczywiście, zazdrościłem mu, ale wiedziałem też, że wszystkie swoje oszczędności przeznaczał na sprzęt wędkarski. Był przekonany, że jest on wart więcej niż jego auto.

W środę wcześniej rano załadowaliśmy do jego Forda sprzęt biwakowy i wędkarski oraz kulery z jedzeniem. Ruszyliśmy na północ. Jeszcze przed południem dotarliśmy do uroczego miasteczka o blisko nam brzmiącej nazwie Warsaw w okręgu Peterborough. Tam mieliśmy zabrać Józka kolegę, który znał tutejsze puszcze i rzeki jak własne pięć palców. Bob Sarna – bo o nim właśnie mowa – i cała jego rodzina byli z dziada pradziada mieszkańcami tego miasteczka.

Od dziadka Bob dowiedział się o swoim polskim rodowodzie. Znał jednak tylko parę słów polskich, lecz wymawiał je z angielskim akcentem. Pod domem szybko powrzucał do bagażnika swoje ciuchy i przybory wędkarskie. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Naszym celem była rzeka Indian i kamieniste jezioro Stony za miasteczkiem McCrackens, tereny pagórkowate, porośnięte lasami, z malowniczo w nie wkomponowanymi drewnianymi daczami. W ich pobliżu często stały samochody. Wszystko było pootwierane na oścież, bo takie tu panują zwyczaje, że wszystko w puszczy jest otwarte.

Tu też zaczynały się obszary od dawien dawna zamieszkiwane przez Indian z ich symbolami dawnej kultury, znakami wyrytymi na kamieniach i skałach. Rysunki te były niegdyś sposobem porozumiewania się wielu plemion - Algonquinów, Odżibuejów i Cree. Sporo ich wykuto w granitowych skałach 600 lat temu, a niektóre

mają nawet ponad tysiąc lat. Władze kanadyjskie, chcąc zachować te dobra kultury, utworzyły w tych miejscach parki przyrody. Skały obudowano pawilonami ze szkła i stali. Miejsca te nazywano Petroglyphs.

Zgodnie z instrukcją Boba Józek zjechał w boczną, szutrową drogę. Przejeżdżając przez płytkie podmokłe groble i wysokie trawy zatrzymał auto we wskazanym miejscu nad samą wodą.

Rzeka Indian była wspaniała, a kamienne brzegi szerokimi kaskadami schodziły w dół. Wielkie skały, zatopione w wodzie jak samotne wyspy, porośnięte były przez jeden lub kilka karłowatych świerków, a inne stały zupełnie nagie. Było tu tyle wodospadów, że trudno odgadnąć którądy biegnie nurt rzeki. Błękit wody i nieba przecinała postrzępiona linia brzegów, porośnięta czerwonymi klonami i krzakami o liściach podobnych do naszej akacji.



Ryby mieliśmy łowić następnego dnia, tymczasem należało wykonać prace gospodarcze. Ustawiliśmy namioty, zbudowaliśmy kamienny krąg dla ogniska i przygotowaliśmy drewno na opał. Roboty było sporo. Pod sam wieczór do naszego prowizorycznego

obożu przyjechał przyjaciel Boba - Randy de Georgel, Indianin ze szczepu Cree. Wspólnie zasiedliśmy przy ognisku. Randy tryskał humorem. Od razu spytał się czy mam żubrówkę. Pomyślałem, że dobrze, iż w Mississauga są polskie sklepy i polska wódka.

– Pewnie, że mam! – potwierdziłem.

Kiedy zapadła zupełna cisza i tylko znad rzeki dochodził szum wody i plusk ryb, a może baraszkującej wydry, Józek opróżniał już drugą butelkę. Randy wydobył ze swej torby pitny miód. Wbrew nazwie był to spirytus na miodzie, a raczej żrąca ognista woda. Po pierwszym kieliszku łapaliśmy powietrze jak ryby w mętnej kałuży. To nasze zachowanie bardzo spodobało się czerwonoskóremu.

Był wyjątkowym gadułą. Mógł rozmawiać z Bobem o rybach bez końca, ciągle pokazując wielkie sztuki. Miał chyba na przedramieniu dobry siniak od tych gestykulacji. Kiedy zaczął opowiadać o indiańskiej wyroczni Ducha Nanabusha, od którego to zależało nasze powodzenie w złowieniu dużych ryb, a którego wysłannikiem był Randy, Józek ostro zareagował:

– Jeżeli chcesz się z nami napić, to dobrze, ale jesteś ciemnym typem i opowiadasz bajki o swym bożku.

Indianin podskoczył jak oparzony. Czekałem tylko, kiedy sięgnie po nóż, który dyndał mu na rzemieniu. Odszedł od naszego ogniska. Józek był zdumiony jego zachowaniem.

– Co ja takiego zrobiłem, że on mnie tak znienawidził?

Bob uspakajał Józka, aby się nie przejmował.

– Indianin wytrzeźwieje do rana i mu przejdzie. Głęboko wierzy w Ducha Nanabusha i inne znaki przekazywane od pokoleń członkom szczepów – wyjaśnił. – Właśnie ten duch pomaga łowić ryby i polować, lecz też płata wiele nieprzyjemnych figli.

Ustaliliśmy, że rano pójdziemy łowić ryby na skalne „bindugi”, które głęboko wchodzą w rzekę, a za nimi tworzą się wielkie wiry. Spróbujemy też dalej na czystej wodzie, poza progami kamiennymi. Po czarnej nocy zrobiło się gwałtownie jasno.

Mimo, że Józek źle spał, szybko odzyskał sprawność i ruszyliśmy nad rzekę. Moim marzeniem, tak jak wielu wędkarzy,

było złowienie nakrapianego pstrąga, takiego wielkiego potokowca, które pływały przy zatopionych skałach. Były tak bezczelne, że wyskakiwały przed płynącym canoe Randy’ego. Rozeszliśmy się. Po paru rzutach Józek już miał na kotwiczce ładnego potokowca.

Mój pierwszy odpiął się przy samym kamieniu. Obok skały pięć dużych okazów kręciło się zawzięcie, a za przynętą płynęły tak blisko, jakby ją obwąchiwały.



Kiedy zmieniłem obrotówkę na małą rybkę od razu miałem wielki okaz na spinningu. Woda opływała kamień, na którym stałem. Był pokryty glonami o tak śliskiej nawierzchni, że omal nie wpadłem do wody. Rybę utraciłem. Bob widząc moje poczynania bił mi brawo, a ja byłem zażenowany. Kiedy jednak dowiedziałem się, że i Józek trzy sztuki zerwał, zrobiło mi się lżej. Pstrągi, podobnie jak szczupaki, nie zmieniały swego rewiru i dalej pływały obok zatopionych skał. Jednak żadna błystka „mepsopodobna”, ani wahadłowe „algi” i „gnomy” nie robiły na nich żadnego wrażenia.

Kiedy przyszedł Józek w do połowy ociekającym wodą ubraaniu, czego przyczyną był duży okaz pstrąga i śliski kamień, na któ-

rym łowił, jakoś straciłem zapal do ryb. Przecież to była sprawa Randy'ego i Ducha Nanabusha, o którym mówił wczoraj Indianin. Józek jednak nie dał za wygraną. Poszedł do obozu wysuszyć ubranie i miał ponownie wrócić nad wodę. Tymczasem Randy przyплыł canoe. Kiedy dowiedział się o przymusowej kąpieli Józka, rozpromienił się na twarzy.

– Ty i tak tu ryby nie złowisz. Chodź, pokażę ci skalne rysunki. Jest ich w tej prowincji około trzystu. Wszystkie wykuto w granitowych skałach, większość nad jeziorami Mazinow, Bon, Echo i Agawa Bay. Na jednej jest trzynaście żółwi. W wierzeniach indiańskich to symbol cierpliwości, pogody ducha i samotności. Małe kuleczki obok to jajka - powtórne życie, budowa nowego, lepszego świata.

Randy znał wszystkie te symbole, a kamienie, na których je umieszczono, nazywał “uczącymi”.

– Łódź jest symbolem przewożenia duchów do innego świata – mówił. – A ten trójkąt obok służy czarownikom do wywoływania złych duchów, zaś ten wąż jest obrońcą podziemnych źródeł i podziemnego życia. Prosty rysunek człowieka to czarownik, ptak podobny do kormorana jest obrońcą ludzi. Lecz największym duchem jest Stwórca Świata. Słońce jest jego domem i nie ma on konkretnego kształtu oraz formy.

Kiedy stanęliśmy przy skalnym rysunku kłapouchego zajaczka, Randy uśmiechnął się.

– To właśnie jest Duch Nanabush, którego Józek obraził! A ma on zdolności przeistaczania wszystkiego, co tylko zechce. Lubi też z ludzi żartować. Uczy tych, co w niego wierzą jak polować i łowić ryby.

Zapytałem Randy'ego czy Józek może zamienić się w niedźwiedzia i czy może nie złowić ryby. Indianin potwierdził, że jest to możliwe.

Gdy przypłynęliśmy do brzegu Józek wyglądał tak samo jak przedtem. Nanabush nie pozwolił mu złowić wielkiej ryby, o której marzył. Była to kara za kpienie sobie z kamiennego rysunku “za-

jączka”. Bob złowił kilka dużych okazów, które później smażyliśmy na ognisku. Okazały się wyśmienite, a Indianin Randy był zadowolony i uśmiechnięty.





Pierwotna przyroda w "Krainie Płaka Burzy"



**Łososie w zatoce
Cooks' Bay.**

12. Czerwonopłetwe garbusy

Podeszliśmy z Józką pod sam brzeg. Tyraliera okoni przecinała toń. Pędziły za wyskakującymi z wody uklejami. W tych miejscach rzeka zaczynała się gotować, pulsować, drgać i burzyć, jakby uderzał w nią niewidoczny grad.

Wyskakujące rybki niczym srebrne płomyki zatrzymywały się chwilę nad wodą i ginęły w paszczach wodnych otmętów.

Obserwowaliśmy razem ten wspaniały spektakl ontaryjskich okoni, który, jak twierdził Józek, stawał się coraz większą rzadkością na tutejszych wodach.

Brzegi rzeki porastały świerki i karłowate brzoźki, wspierające się splecionymi ramionami o kamienie. Nurt zielonymi plamami wypełniała lancetowata trzcina rozłożona na wodzie. Robiła wrażenie podciętych dywanów. Zakola wolne były od wodorostów i tam harcowały drapieżne garbusy.

Kiedy Józek zaproponował mi tę wyprawę na ryby na obrzeża Prowincjonalnego Parku Przyrody o nazwie Ear Rowe w Huronie, nie spodziewałem się tylu wrażeń tym bardziej, że jechaliśmy na tereny niedaleko Cookstown i Alliston - miasteczek zwanych stolicami ziemniaczanymi w Ontario. Czego zatem można się było spodziewać, poza widokiem pól uprawnych, rowów i strumyków?

Na miejscu odniosłem inne wrażenie. Świeżo w pamięci miałem jeszcze oświetlone nocą dziewiętnastowieczne miasteczka, przez które przejeżdżaliśmy, a tu ta wspaniała przyroda!

Bagna, strumyki i rzeki przecinały resztki dawnych puszczy, a razem z kompleksem leśnym i Parkiem Wasaga Beach stały się prawdziwą gratką dla miłośników przyrody, wodniaków, wędkarzy, a obrzeża puszczy także dla myśliwych.

Józek wychylił się zza świerka, by dojrzeć uciekający spławik, tak nieopatrznie, że od razu wpadł po kolana do wody.

– Uważaj do cholery, bo się utopisz! – krzyknąłem.

Nie obraził się na mnie. Trzymał na wędce czerwonoopłetwego „garbusa”. Okonie atakowały tu każdą przynętę. Rozochoczone ściganiem ofiar bez opamiętania chwyciły błystkę i żywca.

– Prawdziwa gratka dla wędkarzy, prawda Józku!

Potwierdził. Byliśmy szczęśliwi, zauroczeni. Mamy już parę prawie kilogramowych drapieżników. Mniejsze wędrują z powrotem do wody z naszą prośbą, aby nie rozpowiadały, co zobaczyły na brzegu.

Powoli idziemy z prądem rzeki. Przed nami podwodne góry przerośnięte rdestnicą. Wydają się niewyczerpaną ostoją tych drapieżników. Rzucamy i rzucamy. Ostatnie mgiełki zalegające szuwary podnoszą się i giną. Wstające słońce zabarwia wszystko na pomarańczowo, woda staje się złocista, ale i ryby ostrożniejsze. Nad rzeką przelatują dwa stadka krzyżówek.

– Stare kaczki z młodymi to nieodzowny znak szybko zbliżającej się jesieni – zauważył Józek.

Wreszcie siadamy. Mój przewodnik zna dobrze ten teren, łowił tu już. Kiedy ma wolny dzień przyjeżdża nad rzekę, bo, jak twierdzi, to niedaleko.

Do Nottawasaga spływa wiele pomniejszych rzeczek i strumyków, przez wędkarzy romantycznie nazywanych: Młodzieżowe, Medalowe, Tęskne, Muszelkowe, itp. Wszystkie są wylęgarnią ryb i zapewniają atrakcyjność tych łowisk, jak również siedliskiem licznych gatunków ptaków wodnych, w tym kaczek.

Wędkarzy łączy tu jedno marzenie – sen o wielkiej rybie. Jest ono obsesją, pragnieniem, życiowym zadaniem ludzi z wędką łowiących w Kanadzie – twierdzi Józek. – A czy może być coś wspanialszego, większa frajda dla oczu, uszu i zdrowia, niż wielokilometrowe wędrówki wzdłuż bagien i rzeki, traperskie pokonywanie przeszkód, licznych topielisk, trzciniowych dżungli, docieranie do tajemniczych lusterek wody, w której na pewno jest wiele

kanadyjskich szczupaków, muskonnogów, basów, czy czerwono-
płetwych garbusów?

*

Słońce wzeszło już nad lasem, zaczęło ostro świecić w oczy i przeszkadzało celnym rzutom błystki. Ryby też stały się leniwe, chodziły wprawdzie za blachą, ale były ostrożniejsze i nie brały.

Mój przewodnik wybrał dziesięć najwspanialszych okazów, ułożył na trawie i powiedział:

– Podziwiał!

Były one zupełnie inne od naszych okoni, matowo - zielonych, z różowymi płetwami. Te tryskały barwami, lśniły w słońcu czerwienią, żółcią i zielenią ostrych kolorów.

Zdecydowaliśmy się pójść do stancyi kajakowej leżącej na skraju puszczy. Tam mieliśmy zjeść posiłek. Pomysł był wspaniały, od razu go zaakceptowałem tym bardziej, że już byłem głodny.

Za ostatnim zakrętem rzeki spotkaliśmy dwójkę wędkarzy. Jeden łowił daleko, w nurcie rzeki, stojąc po pas w wodzie, drugim była kobieta, młoda Indianka. Przed chwilą wyciągnęła wielką rybę.

Pozuje nam do zdjęcia, jest szczęśliwa, uśmiechnięta, przyciska rybę jakby to był największy jej skarb, wreszcie całuje w hakowaty pysk, odhacza z wędki i powoli układa w wodzie tak delikatnie, jakby to było małe dziecko. Ryba, machając płetwą ogonową, odpływa.

Józek mówi, że to pstrąg morski albo trochę wędowna. Wskazuje na to żółtobrazowe ubarwienie i wygięta dolna szczeka. Tutaj złowiono już okazy metrowej długości.

Indianka chce nam się wyraźnie przypodobać. Mówi, że nazywa się Inhake. Prosi żebym zapisał jej nazwisko. Zapytała się czy będzie w gazecie.

– Jestem Irokezką – dodała.

Wchodzimy na wystający nad wodę pień. Z góry wypatrujemy w nurcie dwie sylwetki wielkich ryb zwrócone łbami pod prąd. Czarne torpedy stoją pomiędzy konarami, tuż przy kamieniu.

Józek sięga po wędkę, ale Inhake mówi, że ryby te żerują o zmroku i nocą. Daje nam do zrozumienia, że złowienie takiej sztuki to nie łada wyczyn i szczęście. Jej zachowaniem jesteśmy rozbawieni. Pokazuje przynętę z koralików łososiowej ikry. My takiej nie mamy.

Zegnamy się z Inhaką. Prosi, aby przywieść jej gazetę ze zdjęciami.

Jesteśmy też szczęśliwi! Siadamy przy termosach z kawą i gofrach, których Józek wziął pełną reklamówkę. Rozmawiamy jak zwykle o przyrodzie, rybach i ślicznej Inhake. Obiecujemy sobie tu jeszcze powrócić i zapolować na wielkie, morskie pstrągi, a może i dlatego, żeby spotkać się z Indianką i przekazać ślicznej, czarno-okiej Irokezce jej zdjęcie z rybą!



13. Nad Bobrową rzeką

Prowincja Grey znajduje się w zachodniej części Ontario. Była najwcześniej zaludnianym obszarem przez przybyszów zza morza.

Grey znaczy szary. Otóż nic bardziej mylnego! Bujne, dziewicze lasy jak magnes przyciągały pionierów.

Spośród wszystkich regionów południowych prowincji okolice tereny stanowią tu najwspanialsze połączenie obrzeży pierwotnej puszczy, mokradeł, rzek i jezior z wdziękiem XIX wiecznych miasteczek, barwnych domów letniskowych i prywatnych willi.

Spotkałem tu ludzi o niezwyklej gościnności i przesadnej dobroci, w tym wędkarza oraz trapera Kanadyjczyka Davida Morrisa. Zaprzyjaźniłem się z nim, spędziłem kilka dni i nocy, odbyliśmy wspólne niezapomniane wyprawy wędkarskie niedaleko miasteczka Kimberly, powyżej specjalnej śluzy dla łososi tęczowych i na ujście rzeki Bobrowej do jeziora.

W południowym Ontario brzegi jezior i rzek w dostępnych miejscach zabudowano pałacami i restauracjami w różnych stylach. Są one świadectwem zamożności ich właścicieli. Niektóre z nich, ogrodzone kamiennymi płotami wkomponowanymi w krajobraz puszczy lub skał czy wody, robią niepowtarzalne wrażenie.

Niespodziewanie szybko czarna noc nadchodziła z głębi lasu. Jeszcze niedawno nad brzegiem rzeki było jasno jak w dzień, aż tu naraz w oczach krajobraz zaczął się rozpląwać, rzekę nakrywała zasłona mgieł, a plusk wody stawał się bardziej głośniejszy. Był to wyraźny sygnał do odwrotu.

Już po raz drugi miałem skorzystać z opuszczonego, kampu, który stał obok mocarnej jodły, a ona jak gdyby osłaniała go rozło-

żonymi ramionami. Ten drewniany domek służył kiedyś chyba malarzowi zakochanemu w tutejszym krajobrazie. A ponieważ nie żałował on farb i pędzli, ściany w nim były pomalowane indiańskimi motywami.

Zewnątrz przeważały barwy żółci i zieleni, a we wnętrzu gorącej czerwieni. Dom obłożono sążniami drewna do palenia w piecu.

Czytałem, że niedaleko stąd, nad jeziorem Reiner, mieszkał z rodziną i tworzył w podobnym kampie znany kanadyjski malarz Gelineau Fisher.

Noc zapadła głęboka i czarna, gdy kończyliśmy z Davidem układanie łupek świerkowych na posadzce leśnego domku. Wnętrze wypełniał ostry zapach igliwia, który nas odurzał i usypiał. Jednak usiedliśmy na zewnątrz przy ognisku, w kręgu przyjemnego ciepła, które blaskiem oświetlało nasz biwak.

Bacznie przyglądałem się Davidowi, tak jak wcześniej nad rzeką jego wędkarskim wyczynom, i usiłowałem zrozumieć jego postępowanie. Złowione ryby wypuszczał do rzeki, teraz jednak, przy ognisku zrobił mi wielką niespodziankę. Ze swej skórzanej torby wyciągnął okazałą sztukę o miedzianym kolorze, a raczej przygotowany wcześniej filet gotowy do pieczenia, a później jeszcze mniejszą rybę. Moją połyskującą miedzią i mosiądzem trochę powiesiłem pod okapem domku, aby obeschła.

David obie swoje ryby natarł wcześniej przyniesionym zieliskiem, podobnym do pokrzyw, silnie pachnącym anyżkiem, posolił, zabarwił papryką i zawinął szczelnie w aluminiowe folie, potem zagrzebał w gorącym żarze ogniska.

Kiedy wyciągaliśmy upieczone trocie, nad naszym biwakiem ukazały się pierwsze płatki śniegu. Po paru minutach sypnęło jak z rękawa. Resztę smacznej ryby zjedliśmy już we wnętrzu leśnego domku.

Ogień z ogniska buchał wysoko w niebo, wprawiał w wir padające lodowe płatki, bo i kłocę paliły się jak żywe pochodnie.

Kanadyjczyk w nocy rozmawiał chyba ze sobą, a może się modlił. Zmęczony szybko wtuliłem się w śpiwór.

Kilka razy potworny hałas na zewnątrz budził mnie, ale skoro David nie reagował, to udawałem, że śpię. Drzwi były zaryglowane. Naraz ktoś zaczął walić w ścianę, przewracał drewno na opał. Wolałem tego nie słuchać. Bardziej ukryłem głowę w śpiworze i usnąłem.

Wczesnym rankiem obudziło mnie terkotanie wieczka aluminiowego czajnika. Szybko wskoczyłem w zimne, wilgotne ciuchy i wyszedłem na zewnątrz.

Zadowolony David siedział już przy rozpalonym od nowa ognisku, wskazywał ręką za okap naszego domku. Teraz dopiero spostrzegłem okropny bałagan, porozrzucane kłose, porozrywany na strzępy stary koc, którym wczorajszego dnia okrywaliśmy zmarzniete nogi. Kanadyjczyk stwierdził, że to wszystko dzięki mojej rybie, której oczywiście teraz nie było. Ślady na resztkach śniegu świadczyły o wizycie wilczej watahy albo szopów pracy. Było jednak za ciemno, aby to ocenić.

Robiło się coraz jaśniej, a do rzeki mieliśmy spory kawałek drogi. Ruszyliśmy. Mróz szczypał i chłostał policzki, nad wodą nawet najmniejszy powiew nie drgnął gałązkami świerków. David znał dobrze rzekę. Ustawił mnie przed jej zakolem, sam zaś powędrował dalej.

Na spinning założyłem „mepsa 3” z akustycznym ciężarkiem, choć zestaw błystek miałem bogaty: Algi, Gnomy, Cyklopy i wahadłówki. Tę wybrał David i bardzo gorąco zachwalał.

Wiedziałem, że trocie płyną w górę rzeki i że czym jaśniej tym chowają się w coraz głębszych rowach, wśród podwodnych traw, gałęzi zwisających nad wodą.

Po drugim rzucie pomimo mrozu krew w żyłach zaczęła krążyć mi szybciej. Rozpoznałem uderzenie wielkiej ryby. Błystkę rzuciłem daleko, prowadziłem wolno, pod prąd, przy samym dnie. Wskazówki Davida okazały się skuteczne, ale miałem też wiele tępych zaczepów i nie wszystkie kończyły się atakiem ryby.

Mam dużą rybę! Zaciąłem natychmiast. Drapieżnik gwałtownie rzucił się do panicznej ucieczki, najpierw w górę, a później

w dół rzeki. Ciągnął próbując wpłynąć pomiędzy pnie podciętych przez bobry drzew. Wyskakiwał z wody, trząsł łbem i błyską.

Całą siłą usiłowałem skierować go w otwartą strefę wody. Z czasem osłabł, a kiedy holowałem go do brzegu położył się na wodzie i szybko wachlował skrzelami.

Byłem szczęśliwy. Ryba koloru miedzi i mosiądzu przypominała torpedę, która się zanurzała i znów wypływała pod powierzchnię połyskując złotym kolorem.

Różowe blaski wstającego słońca zaczęły się ześlizgiwać po ośnieżonych szczytach świerków nad Bobrową rzeką, a zmarzniete ręce niemal zeszytywniały, kiedy kończyliśmy tą udaną wyprawę.

Później jeszcze z nadrzecznej skały oglądałem z Davidem jak miedziane torpedy stały w nurcie rzeki, lekceważąc sobie wszystkie blachy i przynęty.

Śnieg znów zaczął gęsto padać!



14. Spotkanie z Wojtkiem

Blade słońce podniosło się już wysoko nad leżące na horyzoncie lasy Wassaga Bach i zaczęło oświetlać bagnisko przed nimi, skąd dochodziły głośne kwakania kaczek i pojedyncze wystrzały.

– Polują na kaczki – powiedział mój przyjaciel.

Jakby na potwierdzenie jego słów po kilku wystrzałach stadko krzyżówek przeleciało nad naszym ogniskiem bardzo nisko, a dalej wzdłuż koryta rzeki, aż znikło za zakrętem.

Teraz przez kratę gałęzi na przyległym mokradle widać było mieniające się brzaskiem oczko wodne. To właśnie zza niego strzelano do kaczek.

Naraz rozległo się głośne ujadanie psa i potworny furkot skrzydeł. Nad naszymi głowami przelatywały dzikie gęsi, bernikle kanadyjskie. Szybko chwyciłem aparat i z rzutu, jak do pędzącego dzika, chwyciłem kolejne cele, przyciskając spust migawki bez mierzenia i opamiętania.

Zdjęć zrobiłem kilka, choć teraz dopiero uświadamiałem sobie, że wiele z nich będzie nieudanych ze względu na bliską odległość ptaków.

Inne stadko gęsi, niezrażone trwającą kanonadą, wyszło z wody na pobliską skarpę i z niedowierzaniem przyglądało się popisom psów i myśliwych, dziwiąc się za pewnie, że ktoś śmie zakłócać ich odwieczny spokój.

Do ogniska przybiegł wyżeł. Obwąchał nas, uważnie przyjrzał się temu co my tu robimy, wziął do pyska pół bochenka naszego chleba i położył się na moim plecaku obok ognia. Tam było mu ciepło i na pewno wygodnie.

Prosiłem Dżeka, aby oddał choć część chleba, on jednak nie reagował.

Niezauważony, ukryty pod kombinezonem, w kamuflażu płataniny wodnej roślinności, stanął przed nami myśliwy ze strzelbą wysoko uniesioną w górę. Myślę, że w ten sposób chciał wzbudzić w nas zaufanie.

– Amerykanin – pod nosem wyszeptał Robert.

Nasz gość do pasa miał przytroczonego kaczora i robił wrażenie całkiem, całkiem, w odróżnieniu od jego psa.

– Słyszałem polską mowę, czy jesteście Polakami? – zapytał. Robert odruchowo zaprzeczył, szybko jednak wyjaśnił, że jego rodzice są Polakami, on sam urodził się we Włoszech, a teraz mieszka w Kitchiner.

Oczom i uszom nie wierzyłem, że ten ponad siedemdziesięcioletni facet, mówi tak świetnie po polsku.

– Widzę, że mój mundur się panom podoba – zagaił rozmowę. – Rzeczywiście jest wygodny i ciepły, doskonale kamufluje w czasie polowania na ptactwo. Kurtka jednak kosztuje 259 dolarów, spodnie 159, a jeszcze buty traperskie, nieprzemakalne i akcesoria – to spory wydatek. Ale nie rozmawiamy o tym! Nazywam się Wojtek Izdebski, mieszkam w małym miasteczku, osiemdziesiąt kilometrów stąd, w Niagara on the Lake. Przepraszam za zachowanie mojego przyjaciela.

Dżek jakby to zrozumiał, bo pomerdał ogonem i oczami dał znać, że jego pan postępuje uczciwie nas przepraszając.

Robert już się przedstawił. – Przyjechałem z Polski i jestem tu u przyjaciół – powiedziałem dodając, że wolny czas dzielę pomiędzy wyprawy na ryby, fotografowanie i myślistwo.

Wojtek uśmiechnął się, jakby trochę zastanawiał, wreszcie zadowolony powiedział:

– Przyniosę parę konserw i hamburgery, bo ta ryba wam chyba nie wystarczy i będziecie głodni. Mam trochę czasu. Szkot, u którego poluję na kaczki, poszedł po swojego psa, bo nie mógł sięgnąć postrzałką, a Dżek nie znalazł. Znam wielu ziomków, którzy tu, do

Kanady przyjeżdżają i harują od świtu do nocy, kupują dzinsy i kartonami wysyłają do kraju, a pan łowi ryby.

Żartując wyjaśniłem, że to Robert złowił rybę.

Tak nawiązała się więc pomiędzy mną a panem Wojtkiem. Mieliśmy wiele wspólnych tematów do omówienia. Lubił też łowić ryby, był ciekawy polskiego łowiectwa, czytał prasę przyrodniczo-łowiecką przysyłaną z kraju.

Nasze rozstanie zakończyło się na zaproszeniu mnie do jego domu w Niagara on the Lake gdzie, jak powiedział, pokaże mi Grzmiące Wodospady, czyli Niagarę.



15. Polowanie na łososie

Meni był Kanadyjczykiem, a jego rodzice pochodzili z Grecji. Po ojcu przejął nieduży warsztat samochodowy, w którym łatwiej było kupić trudno dostępne części do samochodu, niż naprawić auto. Wszystko u Meniego można było zamówić po niewielkich cenach. Myślę, że tak za bardzo czystych interesów to on nie prowadził. Kiedy spotykał mnie w warsztacie, już z daleka wołał:

– Jak się Pan miewa?

Odpowiadałem zwykle:

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Po wielu takich spotkaniach przyszedł do mnie któregoś dnia i powiedział:

– Słyszałem, że jesteś wędkarzem?

Kiedy to potwierdziłem stał się moim przyjacielem. Opowiadał o dużych rybach, a wiedziałem jeszcze z kraju, że każdy wędkarz ma na przedramieniu siniec od ich pokazywania.

Uśmiechałem się. Meni zauważył moje wątpliwości i się pożegnał.

Następnego dnia przyszedł jednak zadowolony i uśmiechnięty, trzymając rękę w kieszeni. Czułem, że coś chce pokazać. Czekałem niecierpliwie. Z wielkim napięciem wyciągnął barwną fotografię, na której trzymał równie wielką jak on rybę. Patrzył mi prosto w oczy, chcąc zobaczyć moją reakcję. Chyba osiągnął to, co chciał, bo poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

– Zabiorę cię na ryby!

Chętnie się zgodziłem. Dodał, że nie będzie mi smutno, bo będzie z nami jego najlepszy kolega Polak – Mariusz.



Georgian Bay Island był nęcący dla wielu wędkarzy.



**Indianie tę rzekę
nazywali „Złotą”**



Szczupak był wielki prawie jak „masky”.

O tym, że zostałem zaproszony na ryby dowiedział się mój szef Arthur i postanowił mnie wesprzeć w tym przedsięwzięciu. Ponieważ do przesady przestrzegał każdego prawa postanowił, że muszę mieć kartę wędkarską, bo ta z Polski była tu nieważna.

Przywiezione z kraju błystki, woblerki i muchy oraz inne akcesoria przy tego typu połowach były zbędne.

Szef całkowicie zdał się na moje doświadczenie i zaproponował odwiedzić stoiska wędkarskiego jednego z domów towarowych. Poczułem się trochę zażenowany, ale nie wypadało się wycofać. Inną sprawą było to, że jeżeli żadnej ryby nie złowię, to będzie wstyd. Wędkarze tacy jak Meni żyli tylko połowami łososi. Jak mówił, szczęściarze łowią je za pierwszym rzutem, a niektórzy czekają całymi latami na „królewską rybę”.

Później miałem się przekonać, dlaczego biznes Meniego szwankuje. Wolał spędzać czas nad wodą niż w warsztacie. Jego koledzy twierdzili, że zmądrzeje, kiedy się ożeni. On jednak łowienie ryb przedkładał ponad wszystkie zajęcia. Po prostu nad wodą był szczęśliwy.

W stoisku wędkarskim szef dał mi wolną rękę. Leżały tam na półkach takie cuda, jak elektroniczne przyrządy pokazujące ryby pod wodą oraz na jakiej głębokości pływają, tak zwane echosondy „ultra engle” w cenie od 140 do 500 dolarów. Były okulary polaryzacyjne, przez które można ryby zobaczyć na własne oczy, stojaki z wędziskami, półki z kołowrotkami, żyłkami i wszelkiego rodzaju hakami oraz woblerami, sztucznymi muchami i wszystko to, co człowiek wymyślił dla przechytrzenia ryby.

Na osobnym stoisku wisiały maskujące ubrania i stał sprzęt biwakowy na dłuższe wyprawy. Oczy bolały od oglądania tych cacek, które były przeznaczone nie tylko dla niedzielnych wędkarzy, ale i dla koneserów.

Mój koszyk zapelniał się szybko, a kiedy szef popatrzył na wędkę wybraną przeze mnie, zapytał czy nie ma czegoś lepszego.

Już po chwili niosłem super kij spinningowy. Jeszcze tylko w kasie poprosiliśmy o kartę - licencję wędkarską za 20 dolarów

i już można było montować wędkę na łososia. Po paru dniach biuro tamtejszego związku wędkarskiego telefonicznie powiadomiło mnie, że w Kanadzie obowiązuje przepis, który zezwala łowić ryby bez licencji (karty) każdemu po sześćdziesiątym roku życia. Pieniądze wpłacone przeze mnie odesłali.

Przygotowania trwały krótko. Meni zaproponował wyjazd nad rzekę Credit River, przepływającą poprzez Eldorado Park, Churchill Park i Erindale Park do portu Credit nad Jeziorem Ontario w Mississauga. To wielkie niczym Bałtyk jezioro łączy się z Oceanem Atlantyckim i rzeką Świętego Wawrzyńca. Stąd tak tu liczne wędrówki łososia, który zasiedla wybrzeże aż do Zatoki Hudsona, a także Grenlandię i Islandię.

Punktualnie o siódmej pod dom przy Havenwood podjechało auto Mariusza, a w nim Meni z całym sprzętem biwakowym i wędkarskim.

Mariusz już siedemnaście lat przebywa w Kanadzie i mimo, że urodził się w Polsce dobiera słowa polskie, aby coś powiedzieć. Chłopak przystojny jak marzenie związał się z Menim i tak razem urzędują – jak mówi. Teraz jedzie na ryby, bo kolega lubi łowić.

Jedziemy do autostrady Queen Elizabeth, a nią nad samą wodę. Mariusz jakoś dziwnym sposobem znajduje przed mostem zjazd za barierką i na niewielkim trawniku stawia auto. Obladowani sprzętem idziemy w dół do rzeki, która się tu rozdwaja by dalej płynąć pomiędzy kamieniami i skałami. Tworzy kilka klasycznych wodospadów, bystrzyn i przykosów oraz głębokich dołów ze starymi nadbrzeżnymi konarami. Łososie licznie gromadziły się tutaj, wzbudzając zachwyt u wędkarzy i licznych gapiów. Nie przyjmowały żadnego pokarmu, jedynie rywalizowały o swoje terytorium. Najczęściej przebywały obok kamienia przepędzając inne ryby, a także nie darując błyskom i woblerom. Wędkarze ubrani w wodery wędrowali wśród rwącego nurtu rzeki razem z wędką, rzucając przynętę w podwodne doły, przeczesując je metr po metrze.

Zahaczony duży łosoś to prawdziwa wiązka dynamitu. Jeżeli się nie zerwie, to najczęściej dobrze wykąpie szczęśliwca. W żąd-

nym innym miejscu nie przeżywa się takiej przygody wędkarskiej jak tu przy ujściu Credit River, gdzie każdej wiosny, aż do czerwca zjawiają się ławice łososi od 7 do 15 kilogramów wagi. Przeskakują wodospady, nawet te o trzymetrowej wysokości. Przez całe lato oglądają niezliczone ilości błystek i much lekceważąc je, biorąc dopiero pod jesień. Jednak w środku lata czasami uderzą tzw. srebrniaki. Są to małe zwinne ryby, które po zahaczeniu wyskakują ponad wodę, dając popis zręczności i siły. Próbuje w ten sposób uwolnić się z haka, co wzbudza zachwyt u gapiów. Podobne zachowanie ryb oglądałem kiedyś przy łowieniu boleni na Odrze w Namyslinie.

Łososie płynęły na tarliska zwabione zapachem rzeki. Pod wodospadami robiły się korki, a widok zmagania tej ryby z przeszkodami i wędkarzami, którzy chcieli je pochwycić, był imponujący. Siła i piękno łososia uczyniły z niego najbardziej pożądaną zdobycz wędkarską.

Kiedy chwycił za przynętę robiąc zwrot, a spinning cały się ugiął, było się już straconym. Żadna inna ryba nie wykazuje tak imponującej siły i nie potrafi tak jak łosoś wprowadzić w błąd nawet najbardziej odpornego wędkarza. Traci rybę, będąc z góry przegranym. Jednak coś z tego? Zwabieni dziką kanadyjską przyrodą wędkarze spędzają całe dni nad wodą, nie patrząc na deszcz lub słońce, tracąc poczucie czasu. Przy ogniskach pieką ryby w folii aluminiowej. Ich mięso ma kolor różowy i jest bardzo smaczne. Ponoć przez wiele lat trzeba łowić łososie, aby stać się ich znawcą. Jeśli jednak ryba weźmie, to nikt nie wie, co ona robi. Stąd tyle łososi się zrywa, a wędkarz pozostaje niewolnikiem tych połowów.

Na całym odcinku wybranej przez nas rzeki lepsze stanowiska były zajęte, najczęściej przez Chińczyków i Wietnamczyków. Wędkowało też parę kobiet, które o dziwo dość często wyciągały srebrniaki i na oczach gapiów pozowały do zdjęć. Potem całowały w pyszczek rybkę, puszczając z powrotem do wody. Wreszcie Meni wybrał stanowisko naprzeciw dużej połaci trzciny.

Rzeka płynęła tu wolniej i było w niej masę dołów. Jako przy-
nęty używaliśmy sztucznej ikry lub tej z łososia. Ikra wypełniała
kawałek nylonowej pończochy i taką kulkę o średnicy centymetra
wieszano na haczyk, a oddalona od niej mała drewniana bojka
meandrowała razem z biegiem nurtu. Wieszano się też pęczki
rosówek przewiązanych czerwoną wstążeczką oraz sztuczne
muchy „James Scot”. Kiedy ryba chwyciła, była tak agresywna,
że wszyscy wędkarze łowiący w obrębie dwudziestu metrów
szybko zwijali swoje wędki. Po dwóch godzinach na trawie le-
żały już cztery sztuki.



Po zahaczeniu każdy z nas holował rybę na płytką wodę, a ko-
ledzy chwyтали ją przed płetwą ogonową, wyrzucając na brzeg. Cóż
to były za piękne okazy! Srebrne torpedy, samce z perłowymi ha-
kami na wydłużonej dolnej szczęce, wielkie, liczące 5 do 8 kilo-
gramów „Salmony” - jak tu się je nazywa.

Mariusz opowiadał mi, że sportowy połów tych ryb zapoczą-
kowali Anglicy już ponad 100 lat temu. Do dziś łowi się tu ich
systemem i metodami. Poza Kanadą i Norwegią takich dużych

okazów już nigdzie nie ma. Kiedyś Indianie byli dla Anglików przewoźnikami i wioślarzami, za co otrzymywali sprzęt wędkarski. Dziś nad Credit River polują na łososie wędkarze, z których co trzeci mówi innym językiem. Rodzimi Kanadyjczycy tych ryb nie biorą, zwracając im wolność. Może właśnie, dlatego w rzece płyną ławice po kilkaset sztuk, pokazując nad powierzchnią wody swe czarne grzbiety. Wzbudzają zachwyt gapiów licznie odwiedzających nadrzeczne parki, gdzie Credit River meandruje. Wiele jednak ryb wracających z tarła jest tak osłabionych, że ginie wyskakując na kamienne brzegi. Jest to smutny widok.

Twarde prawo kanadyjskie zapewnia łososiom bezpieczeństwo, dlatego tak niewiele z nich trafia na patelnię. Każdego roku wielkie ławice tej królewskiej ryby płyną w górę rzeki na tarło. Budzą podziw wśród Kanadyjczyków, którzy nie poszli w ślady europejskich wędkarzy, dbając o swą przyrodę.



16. Wędkarskie El Dorado

Na skale otoczonej wodą siedziała w niebieskich dżinsach i pomarańczowej bluzeczce jakaś dziewczyna - nie do rozpoznania. Jola widząc, że przyglądam się jej zdjęciom, powiedziała:

– To ja jestem!

– Muszę przyznać, że pani fotografie mi się bardzo podobają. Czy mogłaby mi pani zdradzić gdzie jest tak piękny zakątek? – zapytałem.

– Niedaleko mego domu i na moich obrazach, bo jak mam wolny czas, to maluję. – Proszę przyjechać na weekend i samemu zobaczyć.

W jeden z jesiennych dni wybrałem się do domu Joli, do Kewswick nad jezioro Simcoe. Jej dom, a raczej bungalow, stał przy ul. Miami, tuż nad samym brzegiem wody. Na najbardziej wyeksponowanym miejscu postawiono dwa garaże. Przed wejściem był wystrzyżony trawnik i wyrastały w niebo srebrne wieżycy świerków. Dalej dopiero, jakby w ukryciu, stał dom Joli z podwyższoną szeroką werandą. Razem ta zabudowa tworzyła sielankowy obrazek na tle wielkiego jeziora. Wnętrze było schludne, a zawieszone na ścianach obrazy przypominały raczej galerię niż zwykłe mieszkanie. Stały również sztalugi z rozpoczętymi szkicami obrazów.

Wiedząc, że zaproszony zostałem nad jezioro, które reklamowano wszędzie, jako wędkarskie El Dorado, zabrałem cały swój sprzęt i pozwolenie na połów ryb, licząc na złowienie wielkiej sztuki i liczne emocje, tym bardziej, że Jola obiecała poznać mnie ze swoim znajomym wędkarzem, który ponoć ukochał bardziej ryby niż siedzenie w domu.

Jeszcze tego samego wieczoru przyszedł Michał. Był członkiem Polsko-Kanadyjskiego Związku Wędkarskiego, zakochanym bez reszty w wędkarstwie. Na temat jeziora oraz o rybach w nim żyjących mógł opowiadać bez końca. Od niego dowiedziałem się o wielkich potworach w zatoce Couchiching, raju dla wędkarzy na jeziorze Bass za miasteczkiem Orillia oraz o wielkich szczupakach i maskinongach w Zatoce Cook's Bay, tej naprzeciw domku Joli. Narysował mi dokładny plan zatoki z wpływającą niedaleko do jeziora rzeką Maskinonge. Mówił o utworzonym tu rezerwacie o tej samej nazwie, gdzie mając szczęście można zahaczyć podobne do szczupaka maski o wadze nawet do 30kg. Wówczas, gdy ma się super szczęście, udaję się tą rybę wyholować na brzeg.

Mój rozmówca był dobrym znawcą tego jeziora. Znał podwodne wyspy, głębokości dna i przeszkody, a najważniejsze - także przynęty, na jakie te żarłoki najlepiej brały.

Polsko-Kanadyjski Związek Wędkarski każdego roku dla swoich członków organizował zawody szczupakowe oraz na sandacze i inne ryby o puchar gazety "Wiadomości", w której Michał współredagował kącik Związku pt. "Przypon". W nim właśnie można znaleźć wszelkie porady wędkarskie, ogłasza się limity połowów ryb na tutejszych wodach (np. dla okonia wynoszą one 50 sztuk na dobę), są konkursy z nagrodami. Znaczące przedsięwzięcia, mogą być przeprowadzane jedynie dzięki sponsorom, najczęściej właścicielom polskich sklepów i magazynów handlowych oraz sympatykom wędkarstwa w prowincji Ontario.

*

Wydawało się, że pierwszy szal wczesnojesiennego wędkowania już minął i na wodzie robiło się coraz spokojniej. Rozpoczęły się październikowe szarugi, temperatura spadała w nocy poniżej zera, a wiatr w porywach dmuchał z prędkością ponad 15m/s. Wczesnie rano wyjrzało nawet na chwilę słońce. Wyglądało na to, że pogoda nie będzie miała wpływu na żerowanie drapieżników, tym bardziej, że wrzesień był stosunkowo ciepły i wiele roślin wodnych zalegało płycizny zatoki Cook's Bay.

Wyłynęliśmy łódką bardzo wcześnie. Michał pływał tędy często, toteż zmierzaliśmy prosto do podwodnej górki, do celu naszych połowów. Na dnie jeziora leżało sporo kamieni, a czasem straszyły czarne kłody drzew. W dali brzegi zatoki były nieciekawe. Ogromny ich łuk porastały drzewa, wśród których biegła droga i było widać przejeżdżające auta. Pod łódką woda stawiała się coraz ciemniejsza i głębsza. To był stromy spad na stoku. Chętnie bym już porzucił blachę, ale łódka dalej zmierzała do podwodnego wybrzuszenia. Płynęliśmy jeszcze parę minut, aż do miejsca naprzeciw wpadającej do jeziora rzeki Holland, ponad utworzonymi przez nią łachami podwodnych łąk. Wreszcie Michał zatrzymał łódkę nad głębokim rowem i powiedział:

– Tu będziemy próbować. Ty będziesz rzucać błystką w stronę brzegu, a ja do środka. Wzdłuż tych podwodnych bruzd chodzą ławice małych rybek, a za nimi pływają duże szczupaki, okonie, a jak się poszczęści to i maski.

Obaj używaliśmy mepsów typu Supervibrax - błystek akustycznych, dużych woblerów i zamiast żyłki plecionki o nazwie Fireline tak mocnej, że można było nią holować łódkę.

Mój gospodarz dawno rozeznał zachowanie i zwyczaje tych żarłoków, dlatego błystkę prowadził bardzo głęboko, zahaczając nawet o dno. Po bokach podwodnego rowu było jeszcze sporo zieliska, ale Michał twierdził, że ryb tam nie ma, bo nie lubią zgniłej, śmierdzącej roślinności. Jakby na potwierdzenie tych słów zahaczył spinningiem coś, co nie dało się prowadzić. Szarpał w lewo i w prawo - bez efektu.

Kiedy miał wyciągać ciężarek trzymający łódkę, plecionka z brzękiem kołowrotka zaczęła się z niego wysnuwać. Było już wiadomo, że chwycił rybę. Walki jednak nie było, tylko mozolne holowanie, ciągle przykręcanie hamulca. Wyglądało to jak ciągnięcie zatopionego kłosa drzewa.

Na powierzchni ukazał się szczupak znacznych rozmiarów i od razu dał nura pod naszą łódź. Głośna szamotanina, kilka uderzeń ogonem o dno i błystka wyskoczyła z wody jak wyrzucona z procy.

Po chwili również mnie udało się chwycić takiego zadziornego młokosa. Delikatnie go odhaczyłem i powędrował z powrotem do wody.

Szczupaki brały bez przerwy. Było ich tu dużo i nawet nasz hałas ich nie odstraszał. Michał odpiął ponad kilogramową sztukę i pogłaskał, po czym delikatnie wypuścił za burtę łódki. Złowiliśmy już kilka żarłoków, ale nasza siatka nadal była pusta, emocje powoli mijały, a tych średniaków nie warto było nawet wciągać do łódki. Ostatni chyba był większy, ale czując hak w pysku wyskoczył nad wodę trzepocząc dzwoneczkiem błystki i rozbryzgując ogonem fontanny wody, wpadł do niej z powrotem. Widowisko było wspaniałe i zadziwiające. Drapieżniki chwyciły blachy z obsesją i szaleństwem. Wszystkie “chłytki” do półtora kilograma wypuszczaliśmy z powrotem do wody.

– Nie przyплыliśmy na taką drobnicę – powiedział Michał.

– Albo trafi się nam porządna sztuka albo maski. Taka jest nasza dewiza.

Odhaczyliśmy łódkę i popłynęliśmy w stronę brzegu. Tymczasem znacznie się ociepliło i znów na chwilę wyszło słońce. Pod nami opadło już ścięte chłodem zielsko. Kiedy Michał wymieniał blachę na woblera, gwałtownie wzięła mi ryba wyrывая linkę. Próbowałem ją przyhamować, ale była zbyt silna. Co ona wyrabiała!

Wracała, by ponownie energicznie szarpnąć. Czasem wydawało się, że jej nie ma, że się odpięła. Naraz wyskoczyła z wody daleko od łódki. Byłem jednak pewien, że ją dobrze zahaczyłem. Wielkością płetwy ogonowej zrobiła na nas duże wrażenie, a mnie dodało to energii do dalszej walki. Starłem się powoli zwijać linkę na szpulę, baczając na hamulec, który grał co chwilę. To była pełna napięcia walka z rybą, chwilami wydawało się, że już jej nie mam, a ona trwała na kotwiczce spinningu. Co za witalną siłę miała ta bestia! Wreszcie szczupak był już tak osłabiony, że wypłynął na powierzchnię wody brzuchem do góry i łatwo było go z niej wyjąć.

– No, wreszcie będziemy mieli rybę w siatce – zauważył Michał. – Ma chyba z sześć kilo.

Podpłynęliśmy jeszcze bliżej brzegu. Przy jednym z czarnych podwodnych pni zobaczyłem zaczajoną rybę. Stała nieruchomo, niewidoczna dla przepływającej obok drobnicy. Była tak ogromna, że robiła wrażenie leżącej kłody. Michał powoli opuszczał blachę obok jej wielkiego łba.

Naraz wystrzeliła jak z katapulty, aż kilka małych rybek wyskoczyło nad powierzchnię wody. Zagotowało się obok łódki.

Z czarnej toni wypłynęły zgniłe liście oraz wydobył się niesamowity smród. Jednocześnie wielka płetwa grzbietowa przecięła tę czarną bryłę i zatonęła. Oniemieliliśmy z wrażenia, a Michał zwiesił głowę i długo się zastanawiał.

– Chciałeś złowić musky, to zobacz co by z nami było – powiedział w końcu do siebie pod nosem.

W naszej siatce mieliśmy trzy ryby, kiedy postanowiliśmy wracać. Coraz bardziej się chmurzyło i wzmógł się wiatr, a nawet chwilami drobna mżawka rosła nam twarze. Na brzegu rozłożyłem trzy rybie torpedy nakrapiane czarnymi plamkami. Michał wyjaśnił, że te plamki to rozwojowe formy przywr, które muszą być zabite przez obróbkę cieplną, aby nie były groźne dla człowieka. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego z tych wód rzadko bierze się ryby do domu. Przyroda broni się sama przed drapieżnością człowieka, również w Zatoce Cook's Bay.



Kraina od dawien dawna odwiedzana przez Indian z plemienia Cree



Przed planszą
wodza Algonqu-
inów „W krainie
Ptaka Burzy”

17. Północny kot potokowy

Wrzece łączącej dwa jeziora - Piaskowe i Bassów, żyje wiele gatunków ryb. Jednym z najbardziej skrytych jest „rzeczny kot”, północny pstrąg potokowy. Niczym nie przypomina naszego pstrąga. Jest koloru czarno - złotego, zdobią go marmurkowe plamki. W czystej wodzie przypomina węża szykującego się do ataku na srebrną błystkę.

Po kilku nieudanych próbach złowienia pstrąga zwinąłem żyłkę i odłożyłem spinning. Wołałem obserwować Tracego. Indianin stał długo jak czapla na rzeczonym głazie, by naraz swój drewniany oszczep, zakończony szpilą, wbić w nasyoną bańkami powietrza wodę. Po niecelnym uderzeniu włóczni raniony pstrąg wyskoczył nad wodę i ponownie w bryzgach kropli wpadł do niej. Jednak obok na sęku drzewa wisiało już ze siedem złowionych okazałych ryb.

Tracy, kiedy mnie zobaczył, oparł się o drzewo, na którym lśniły czernią i złotem mokre jeszcze ryby. Był dumny ze swego połowu, może tym bardziej, że mnie, uzbrojonemu w spinning, niewidoczną plecionkę i srebrną, blaszaną rybkę, nie udało się nic chwycić. Przyglądając się jego okazom ciągle wierzyłem, że musi być jakiś sposób na przechytrzenie tych wachaczy.

Byłem tego dnia umówiony na ryby z Barabaszem i Trembleym. Znali oni „rybie mateczniki”, u ujścia rzeki z jeziora. Kiedy do canoe włożyli wielką, ponad metrowej wielkości drucianą klatkę, byłem tym zaskoczony.

– Chyba nie ma tam tak wielkich ryb? – Zagadnąłem Barabasza. – Na pewno są. Ale dziś będziemy łowić pstrągi jeziorowe no i jak się uda, północnego szczupaka. Tylko węz ze sobą woblery, jeżeli chcesz mieć jakieś sukcesy!

To była naprawdę okazja. W Polsce właściwie wolno pstrąga łowić na sztuczną muszkę, a tylko nieliczni mogą go złowić na spinning.

Owadów było już niewiele. Ryby po letnim tarle miały spory apetyt i prawdopodobnie nie gardziły żadną przepływającą obok rybką, byleby była prawdziwa.

Przed wyjazdem do puszczy w La Baron kupiłem spory zestaw mepsopodobnych błystek - złotych i srebrnych. Tu jednak w rzece nie były najlepsze. Wiele z nich zamiast wirować wlekło się z prądem wody i straszycy ryby.



Zatrzymałem się na kamienistym brzegu przy samym ujściu rzeki. Brodząc w lodowatej wodzie próbowałem moje przynęty.

Pierwszego pstrąga złowiłem na woblera z doczepioną małą błystką. Plastikowa rybka do złudzenia przypominała żywą. Była na tyle atrakcyjna dla niewymiarowego pstrąga, że już za drugim rzutem ją chwycił. Wiedziałem, że tą metodą wiele nie złowię, a jeżeli któregoś zahaczę, to będzie niedoświadczony młokos, jak ten pierwszy.

Opuściłem szybko tę wodę. Barabasze ze swoim kolegą wypłynął na jezioro, pod drugi jego zalesiony brzeg. Liczyli tam na większe sztuki, szczególnie szczupaków.

Za zakrętem rzeki, pod zwisającymi gałęziami jodeł dostrzegłem głębie wody. Ukryłem się za pniem drzewa i bacznie to miejsce obserwowałem. Miałem nadzieję na spotkanie w niej większych okazów pstrąga. Obok płytkie, przezroczyste wody robiły wrażenie bezrybnych.

Ciemna plama wody zawalona była pniami drzew. Ostrożnie i bardzo cicho zbliżyłem się do dołka. Każdy nieostrożny ruch mógł być odkryty przez rybę. Stałem za wielkim zwalonym pniem, którego konary moczyły się w wodzie. Tam ostrożnie rzuciłem małą obrotówkę. Kiedy dosięgła wody, ryba uderzyła i gwałtownie naprężyła linkę. Dołek kipiał, a ryba wyskoczyła nad wodę, zatrzęsa błyską i w bryzgach wpadła ponownie do niej. Walka trwała krótko, linka zaplątała się w gałęzie, ale pstrąg był mój! Płynął do góry brzuchem z kotwicą w rozwartym pysku. Delikatnie wyjąłem go z wody. Był podobny do tych złowionych raniem przez Indianina, choć w moich oczach urósł znacznie.

Do południa w podobnych dołkach złowiłem jeszcze kilka sztuk, z których dwa wypuściłem. Były zdecydowanie mniejsze.

Barabasz i Tremlay na pewno też nie próżnowali, przecież byli doświadczonymi wędkarzami i myśliwymi. Z ciekawością oczekiwałem na ich powrót. Kiedy dopłynęli do brzegu zobaczyłem, że klatka na rufie canoe była obciążona rybami.

Szybko uchwyciłem aparat i udokumentowałem wyprawę. Jezioro piaskowe okazało się dla nich szczęśliwe i zasobne.

Moja zdobycz była piękna, a złowione przeze mnie ryby niebawem dzielnymi okazami z Północnego Ontario.

18. Spotkanie z muskelungiem

Zanim zdecydowałem się wybrać na dotąd nieznanego mi drapieżnika najpierw nasłuchiwałem się o nim niesamowitych historii, porównywalnych, z bohaterskimi wyczynami dawnych wielorybników. Już wcześniej od wędkarzy łowiących ryby w prowincji Muskoka, dowiedziałem się o tajemniczym szczupaku, który ze względu na swoje rozmiary i agresywność budził u nich podziw i zarazem strach.

Prasa wędkarska często donosiła o wypadkach na wodzie, o tajemniczych utonięciach zaplątanych w żyłkę wędkarzy, o wywróconych i uprowadzonych na głębiny łodziach, wreszcie ludziach wciągniętych pod wodę. Czy takie potwory kryją jeszcze te wody i czy jest szansa na spotkanie z nimi? Myśli takie stale mnie nachodziły, kiedy tylko byłem nad wodą.

W „krajnie wielkich jezior” żyją dwa rodzaje muskellungów. Głębinowy, jest trochę mniejszy od swego wielkiego pobratymca, zaś ten olbrzym, bezwzględny drapieżnik, swą wielkością dorównuje człowiekowi, jednak jest go o wiele mniej. Należy do ryb bardzo tajemniczych i ostrożnych, posługujących się węchem. Stąd przechytrzenie go jest często wręcz niemożliwe.

Dla wielu wytrwałych łowców musky wcale nie jest wędkarskim mitem. Na łodziach rybackich, motorówkach i żagłówekach montują echosondy ułatwiające wykrycie ryby. Nie szczędzą pieniędzy na drogi, wytrzymały sprzęt wędkarski. Zamiast żyłki zakładają na szpulę kołowrotka o wiele wytrzymałą i dłuższą plecionkę. Oferuje się wędkarzom ponad dwudziestocentymetrowe barwne wobler, najeżone kotwicami i zaopatrzone w odpowiedni system głębinowego pływania oraz udawania dźwięków żywej ryby, poza tym różnego rodzaju żabki, pijawki, sztuczne wątroby, itp.

Atmosferę podgrzewają sklepy wędkarskie, prezentując zdjęcia ze złowionymi muskellungami, a nawet spreparowane wielkie okazy.

Dodatkowym utrudnieniem w połowach tej ryby jest fakt, że występuje ona na odległych, północnych łowiskach, często powyżej jeziora Wielkiego.

Jezioro Nipissing znajduje się dopiero na dziewiątym miejscu pod względem zasobności w ryby żarłoczne. Bliższe łowiska na jeziorach Georgian Bay, Muskoka i Simcoa, są już mocno przeźrebione. Położone nad nim miasteczko Cache Bay – Kryjówka, do niedawna znajdowało się poza cywilizacją. Jedynie Indianie z niewielkiego rezerwatu gospodarowali na obrzeżach zatoki jeziora. Sama nazwa Kryjówka świadczyła o tym, że diabeł dawno powiedział tu dobranoc. Jezioro jest najeżone dziesiątkami podwodnych skał i kamiennych wysp otoczonych zielskiem, odstrasżającym od pływania. Wprawdzie z brzegów robi wrażenie olbrzymiego, barwnego ogrodu, ze względu na rosnące tu różowe nenufary, pod nimi jednak są zdradziecko ukryte krawędzie ostrych skał, które mogą przeciąć nawet blaszane poszycie łodzi.

Do Cache Bay pojechałem z Joe, emigrantem z Polski, który wyspecjalizował się w połowach drapieżnych ryb. Nad jeziorem Nipissing miał swego przyjaciela, również jak on zapalonego wędkarza Johna Bila, właściciela kilku domków kempingowych. Twierdził on, że odkrył te wody i zainwestował w bazę noclegową dla wędkarzy oraz myśliwych. Rozreklamował szeroko to jezioro tym, że gwarantował przeżycia podobne do znanych z powieści „Robinson Crusoe”, a to się współczesnym ludziom spodobało. Ma do dyspozycji łodzie, canoe, oferuje wody pełne ryb, dzikiego ptactwa i czyste powietrze. Jego zdaniem gościom zapewnia przebywanie z dala od cywilizacji.

Na te hasła Johna dało się skusić wielu ludzi. Stąd jak grzyby po deszczu nad zatoką Kryjówka wyrosło wiele domków na palach i przyklepionych do skał hangarów na łodzie. Stworzono pełen komfort dla uprawiania wędkarstwa i turystyki.

W ciągu ostatnich trzech nocy przeżyliśmy wiele, poznaliśmy otaczające wody Gęsiej Wyspy i Mewiej Skały. Złowiliśmy niezliczone ilości szczupaków - większych i mniejszych, które powróciły z powrotem do wody. Musky jednak dalej tylko istniał na ekranie sondy i w marzeniach. Nawet już wąpiłem w sens naszego wysiłku i jakiegokolwiek szanse na schwytanie tej ryby tym bardziej, że wiatr przygnał szare chmury znad Zatoki Hudsona i zapowiadało się na kilkudniową ulewę. Nastawały dni przewrotne, raz mżawka i deszcz, to znów podmuchy ciepłego powietrza znad Zatoki Meksykańskiej.

Przy Gęsiej Wyspie odkryliśmy tajemnicze podwodne głębiny. Nad wodą robiło się szaro i ciemno. Jeszcze tylko łuna na północnym horyzoncie nieba falowała i świeciła wąską wstążeczką, niczym polarna zorza.

Na monitorze radaru pojawiły się dwa wielkie cienie, nieruchome kłody. Joe określił ich głębokość na sześć metrów. Stały nieruchomo tak długo, że nawet zwątpiliśmy w ich autentyczność. Nie chcąc płoszyć pozostałych ryb, które dość często przepływały nad nimi, powoli Joe opuścił na dno wcześniej złowionego pstrąga. Pociął go nożem w rękawicach, aby nie wprowadzać obcego zapachu.

Minęło znów sporo czasu, i dotąd spokojną toń jeziora zakłócił deszcz wyskakujących z wody rybek. Przed nami olbrzymi wir przecinała płetwa grzbietowa wielkiej ryby. Drobnica srebrzyła się w światłach latarki jak błyszcząca garść monet rzuconych na wodę.

Serca zabiły nam mocniej. Potwór na nasze światło nie reagował. Kręcił się wokół łodzi, robił jakieś dziwne młyńce i wyrzucał nad powierzchnię coraz to więcej małych rybek.

Kiedy oprzytomniałem z wrażenia, byłem szczęśliwy z tego spotkania z największym żarłokiem – „królem kanadyjskich jezior.”

Branie przynęty było powolne, ale zdecydowane. Ryba przygięła szczytówkę wędki do samej wody i zacięła się sama, potem pró-

bowała wciągnąć wędkę do wody. Dobrze, że plecionka nie była zahaczona o szpulę, bo naraz usłyszeliśmy brzęk hamulczyka i świst wysnuwającej się żyłki. Teleskop pojękiwał i giął się jak pałak, mocno szarpany przez rybę. Żyłka miała 0,8 mm grubości i gwarantowała wytrzymałość ponad trzydziestu kilogramów, ale czy to wystarczy? Na razie trzeba było zapobiec ucieczce ryby pomiędzy kłody leżące na dnie. Po ciemku palcem kontrolowałem ilość wysnutej ze szpuli żyłki, bo gdyby ryba ją opróżniła, przepadłaby na zawsze. Zwiększyłem opór wysnuwanej linki wiedząc, że będziemy mieli szansę na szybsze zmęczenie ryby, w innym przypadku pójdzie gdzie chce, opróżni szpulę i w końcu zerwie żyłkę.



Joe był wcześniej świadkiem takiej przygody na Georgian Bay, kiedy trzydziestokilogramowy musky wysnuł wędkarzowi całą żyłkę i w końcu wyrwał spinning. Jedynie pozostała mu w rękach korbka. Twierdził, że technika łowienia tej ryby różni się zasadniczo od połowów szczupaka, bassy, czy karpia. Musky niczym ich nie przypomina i nie trzeba zmuszać go do nałykania się powietrza, bo od tego wstępuje w niego szalona energia i niebывały, opętany złością wigor walki.

Wreszcie ryba przystanęła, nawet pozwoliła na skrócenie sporej ilości żyłki. Joe szybko chwycił podbierak i wystawił poza burzę. Teraz stało się coś najgorszego. Drapieżnik gwałtownie dał nura pod naszą łódź i zaczął walczyć o swe życie. Rozhuśtał ją do niebezpiecznych przechyłów tak, że wyleciały oba wiosła. Jedno wpłatało się w linkę i ciągnięte przez rybę hamowało jej ucieczkę.

Naraz opór ustał. Najpierw wypłynęło na powierzchnię wiosło, a potem ukazał się na wodzie biały brzuch ryby. Swą wielkością jemu dorównywała. Odwrócona grzbietem w dół płynęła spokojnie do łodzi wraz ze skręcaną na kołowrotku żyłką.

Podbierak był już w wodzie. Nakrył jej wielki łeb, a to już dla musky było za wiele. Nagle jak szalona wyrwała siatkę i chlapiąc ogonem o wodę popłynęła na samo dno.

Joe szybko podniósł ciężarek. Odczepił łódź od dna i teraz byliśmy zdani na hol wielkiej ryby. Ciągnęła nas jeszcze przez parę minut i znów wypłynęła. Dopłynęliśmy do niej. Pozwoliła się spokojnie chwycić za skrzela. Siatka przepadła na zawsze, a wyciągnięcie z wody ponad półtorametrowej długości ryby graniczyło z cudem.

Joe wziął szczypce i zupełnie świadomie uwolnił rybę z kotwicy. Leżała przed nami jeszcze przez pewien czas na wodzie jak nieżywa, nim zaczęła powoli tonać, aż znikła w głębi oświetlana naszymi latarkami.

Byłem zupełnie mokry, nie wiem czy obłany wodą, czy też od własnego potu. Kręciło mi się w głowie od przeżytych emocji.

Obaj usiedliśmy na ławeczkach łodzi. Odszukaliśmy wiosło i oszołomieni tym spotkaniem z musky wróciliśmy do bazy nad Zatoką Cache Bay, mając nadzieje na ponowne spotkanie z wielkim muskellungiem.

19. Szczupaki z domku na lodzie

Kierowca na masce pojazdu rozłożył mapę.
– Popatrz - powiedział – jezioro dochodzi do Temagami, po wschodniej stronie jest drugie Cassals i dalej Timiskaming skąd wypływa Ottawa, a za nią to już wielki Quebec. Musimy skręcić w lewo, po północnej stronie tej wielkiej wody. Do Telapagi mamy jeszcze ze trzydzieści kilometrów zaśnieżonej drogi. Oby nie było tylko gorzej!

Jeżeli Erwin i ten drugi traper będą w chacie, powinniśmy się spotkać z nimi za godzinę.

Ujechaliśmy już ze sześćdziesiąt kilometrów od ostatniego mizernego budynku, końcowego śladu cywilizacji. Przed nami nie będzie już żadnej zagrody. Możemy jedynie spotkać myśliwych, Indian lub włóczących się traperów. Wokół nas stał tylko zaśnieżony las, popisany rowami ścieżek łosi, jeleni, wilków i kojotów.

Kiedy wsiadałem do ciężarówki byłem pełen obaw i troski czy dojedziemy nad to jezioro, jednak, kiedy poznałem możliwości napędu na cztery koła naszej „hondy”, obawy te szybko minęły.

Gorzej byłoby gdyby Erwin nie dotrzymał danego nam słowa lub gdybyśmy zblądzili, ale przecież Andrzej był wytrawnym myśliwym i nie tak łatwo da się mapie zmylić. Głusza tu była kompletna, tylko lekko zaznaczony ślad wąskiej dróżki wijącej się wzdłuż drzew i kamiennych łbów wystających spod śniegu.

– Jak oni mogli zbudować na tym pustkowiu kamp i w nim zamieszkać, jaka przemożna siła ich tu przywiodła? – Zastanawiał się Andrzej.

Aż nie wierzyłem, że tym magnesem mogły być tylko ryby! Z opowiadania Erwina wnioskowałem, że żyły tu olbrzymie północne szczupaki, które dodawały tym jeziorom wielkiej atrakcyj-

ności. Latem ponoć lądowały tu awionetki z bogatymi wędkarzami ze Stanów, zwabionymi mnogością wielkich okazów ryb. Zimą jednak jest spokój, za to spod lodu można wyciągnąć nie lada sztuki.

Kiedy minęła godzina naszego wzmagania się z drogą zacząłem mieć wątpliwości, czy aby dobrze jedziemy. Przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Wyczuwałem, że Andrzej się coraz bardziej denerwuje. Naraz gwałtownie zahamował, zaklął wyjął zza siedzenia sztucer i wyskoczył z samochodu. Co sił pognął w las. Czyżby zobaczył łosia, lub wilka? Nie było przecież wcześniej mowy o polowaniu!

Mimo woli też wziąłem strzelbę i z ładownicy wyjąłem na wszelki wypadek dwa naboje. Nic się jednak nie działo. Zobaczyłem, że Andrzej wraca w towarzystwie mężczyzny odzianego w kozuch, który widząc nadjeżdżający samochód schował się prawdopodobnie za drzewo.

Oboje przyszli do ciężarówki. Był to przyjaciel Erwina, traper, który od lat dzierżawi tutejsze bagna i chwytą zwierzynę futerkową. Zapytany o drogę do jego chaty wyraził się z przekąsem:

– Tych dwoje „zmarzlaków z Telapagi” mieszka nad samym jeziorem, trzy kilometry dalej. Często siedzą w swej altanie na środku wody. Tam łowią ryby, jednak więcej się chwala niż te ryby są warte. To straszni maniacy, a nie wędkarze.

– Ale żeś nas pocieszył Booth, bo my właśnie jedziemy do nich na ryby.

– No to życzę połamania kija!

W taki sposób bez trudu trafiliśmy do chaty Erwina i mieszkającego z nim emeryta Fostera.

Rzeczywiście oboje byli na jeziorze. Ich kempingowy domek stał z dwieście metrów od chaty. Dymił z komina niczym parostatek na rzece. Łód tu był mocny, chyba miał z piętnaście centymetrów grubości. Bez obawy poszliśmy na spotkanie z wędkarzami

Zauważyli nas z daleka, bo nad kominem pojawiły się kółka z białego dymu, symbole indiańskiego pokoju.

Mieszkali w domku na płozach przyciągniętym przez traktor, o wysokim standardzie z: kuchenką, ręczną pompą, ubikacją, piętrowymi pryzmami i piecem na drzewo oraz olej. Wnętrze było trochę ciasne, ale wygodne. Ponoć właściciel przywiózł dom tutaj aż spod Niagary.



Dla mnie rewelacją nie było jego wyposażenie, ale w samym środku podłogi wykuta dziura w lodzie, w której tkwiły żywcówki.

– Cześć zmarzlaki – tak powitał Andrzej obu wędkarzy.

– Przepraszam, ale tak nazwał was Booth.

– Niech się ten kłusownik od nas odczepi. – Odparł Erwin. Jednak jego słowa zrozumieliście na opak. „Zmarzlaki” są tutaj! Wskazał na drewnianą skrzynkę obłożoną lodem. Podeszliśmy, a on odsłonił jej zawartość. Leżało tam chyba ze sześć wielkich szczupali. Aż straciłem z wrażenia głos, kiedy chciałem się zapytać czy udało się wyciągnąć je przez te niewielkie otwory w lodzie.

Każdy z nich miał chyba po metrze długości i ważył ponad dziesięć kilogramów. Tak wielkie ryby były dla mnie kompletnym zaskoczeniem.

– Oto są to nasze „zmarzlaki”, które za parę dni Foster zawiezie do Latchford, jednak wcześniej skrzynię tę musimy dopełnić – dodał Erwin.

Byliśmy pełni uznania dla pomysłowości i wysiłku obu wędkarzy. Teraz dopiero zrozumiałem sens zamieszkiwania z dala od cywilizacji i w zupełnej symbiozie z dziką przyrodą.

Obok domku wędkarzy, w kierunku brzegu, wywiercono jeszcze cztery otwory, w których też tkwiły wędkі. Każda z nich zahaczona była o duży sygnalizator ze styropianu. Po schwyceniu się ryby odwracał się stroną czerwoną na zewnątrz, a kontrolowany był przez okno z domku.

O tym, że nie było tu bezpiecznie świadczyła rozciągnięta pomiędzy otworami linka asekuracyjna. Obaj wędkarze przypominali swym wyglądem Eskimosów ubranych w kurtki na kozuch, w skórzane spodnie na futerku i podobne buty. Na głowie mieli czapy z bobrowych skór, a rękawice z przyciętymi palcami.

Co pewien czas cedzakiem wybierali z przerębli kaszę lodową, aby nie płoszyć ryb maskowali swą obecność przy otworach rozkładając na lodzie koce.

Według Erwina w miejscach połowów znajdowała się podwodna górką usłana kamieniami, były też tam zatopione kłody starych drzew.

– Z początkiem zimy – mówił – łowiliśmy przy samych trzcinach, teraz już coraz dalej od brzegu i na większej głębokości ryby żerują.

Chwalił się, że obaj dziennie łowią, po co najmniej dwie duże ryby. Mniejsze wypuszczają z powrotem do wody lub ładują na ich patelni.

Z powodu naszej obecności wywiercono jeszcze trzy otwory, aby i nam dać szansę na złowienie wielkich ryb. Wybrałem jeden z nich i twardo zasiadłem przy zastawionej żywcówce.

Miałem kilka brań. Nawet raz mój sygnalizator schował się pod wodę, jednak później znów wszystko wróciło do normy, znów dalej twardo trwałem na posterunku.

Od dziury odciągnął mnie Andrzej, bo w domku przygotowano rybi poczęstunek. Po raz pierwszy jadłem smażone szczupaki polowane piwem. W małym pomieszczeniu było więcej oparów alkoholu, niż na patelni filetów. To jednak razem powodowało, że czuliśmy się tutaj wysmienicie, a ta wyprawa na ryby należała w Kanadzie do najbardziej udanych.

Po wyjściu z kempingu przekonałem się, że szczupaki porwały obie moje żywcówki. A może mi się tylko tak wydawało? Przy głośnym śpiewie załogi domku nie było już szans na złapanie cze-
gokolwiek.

Pod koniec dnia przeżyłem wielką radość. Szczupak sam się złapał na moją wędkę i czekał aż go wyjmę z wody. Moje szczęście było ogromne. Forster od razu zaproponował, że zrobi z niego filety. Żał mi było go trochę, ale wręczyłem mu ciężką rybę do usmażenia.

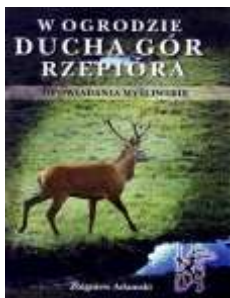
Na noc wróciliśmy na ląd, aby w chacie Erwina przenocować. Księżyc kusił nas puszcza, ale pod wrażeniem wielkich ryb marzyliśmy tylko o wędkarskich sukcesach.

Rankiem, kiedy tylko zelżał trochę mróz wróciliśmy na lód. Szybko okazało się, że Forster zapomniał o swojej obietnicy. Chyba za bardzo obu wędkarzom smakowało piwo, bo zupełnie zlekceważyli sobie wędkowanie.

Mój wielki północny szczupak zamarzł na kość. Leżał dumnie obok domku na płozach jedynie wzbudzając mój zachwyt.



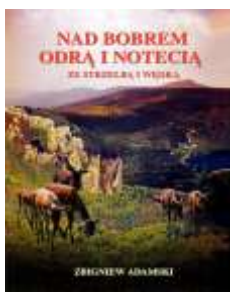
Indiański totem Ptaka Burzy wykuwany na skalach nad jeziorem Georgian Bay.



Zbigniew Adamski „W ogrodzie Ducha Gór Rzepióra” Opowiadania myśliwskie.

Wydanie drugie

Barwna opowieść o myśliwych, o ich przygodach, ale przede wszystkim o wspaniałej, niepowtarzalnej sudeckiej przyrodzie. Ona fascynuje autora najbardziej. Na polowania udaje się nie tylko ze strzelbą, ale także z blokiem rysunkowym i aparatem fotograficznym, którego używa znacznie częściej niż sztucera.



Zbigniew Adamski „Nad Bobrem Odrą i Notecią”

(Ze strzelbą i wędką)

Wydanie pierwsze

Autor opowiada barwnie o czasach wojny nad Notecią i o wspaniałej przyrodzie nad Odrą i Bobrem. Ze strzelbą i wędką przemierza najbardziej tajemnicze zakątki, które jeszcze można znaleźć w naszym kraju. Ryby oraz dziko żyjące zwierzęta i ptaki są tematem opowiadań.



Zbigniew Adamski „Skarbiec Puszczy Sudeckiej”

Wydanie pierwsze

W przedstawionych Państwu utworach, w pewnym stopniu opartych na wydarzeniach historycznych, największe znaczenie ma dzika, zawsze odradzająca się i piękna przyroda, której wszyscy jesteśmy częścią. Gawędziarski styl Zbigniewa Adamskiego nie pozwala, aby życzliwy Czytelnik mógł się choć trochę nudzić czytając te powstałe teraz z głębi serca ich autora, utwory.



Zbigniew Adamski *Koło Łowieckie „Darz Bór” w Kotlinie Jeleniogórskiej*

Wydanie drugie

W 1945 r. jednym z najważniejszych ośrodków organizacyjnych Polskiego Związku Łowieckiego na Dolnym Śląsku była Jelenia Góra. 15.03.1946 r. utworzono Wojewódzką Radę Łowiecką z siedzibą w naszym mieście. W listopadzie tego roku powstało Stowarzyszenie Myśliwskie „Muflon”, w lipcu 1947 r. „Darz Bór”. Autor stworzył cykl „**Ocalić od zapomnienia**”, w którym nie tylko opisywał, ale przede wszystkim „odkłamywał” historię polskiego łowiectwa na Ziemi Jeleniogórskiej w pierwszych latach po wojnie.

DOROBEK LITERACKI

DO 2010 ROKU

